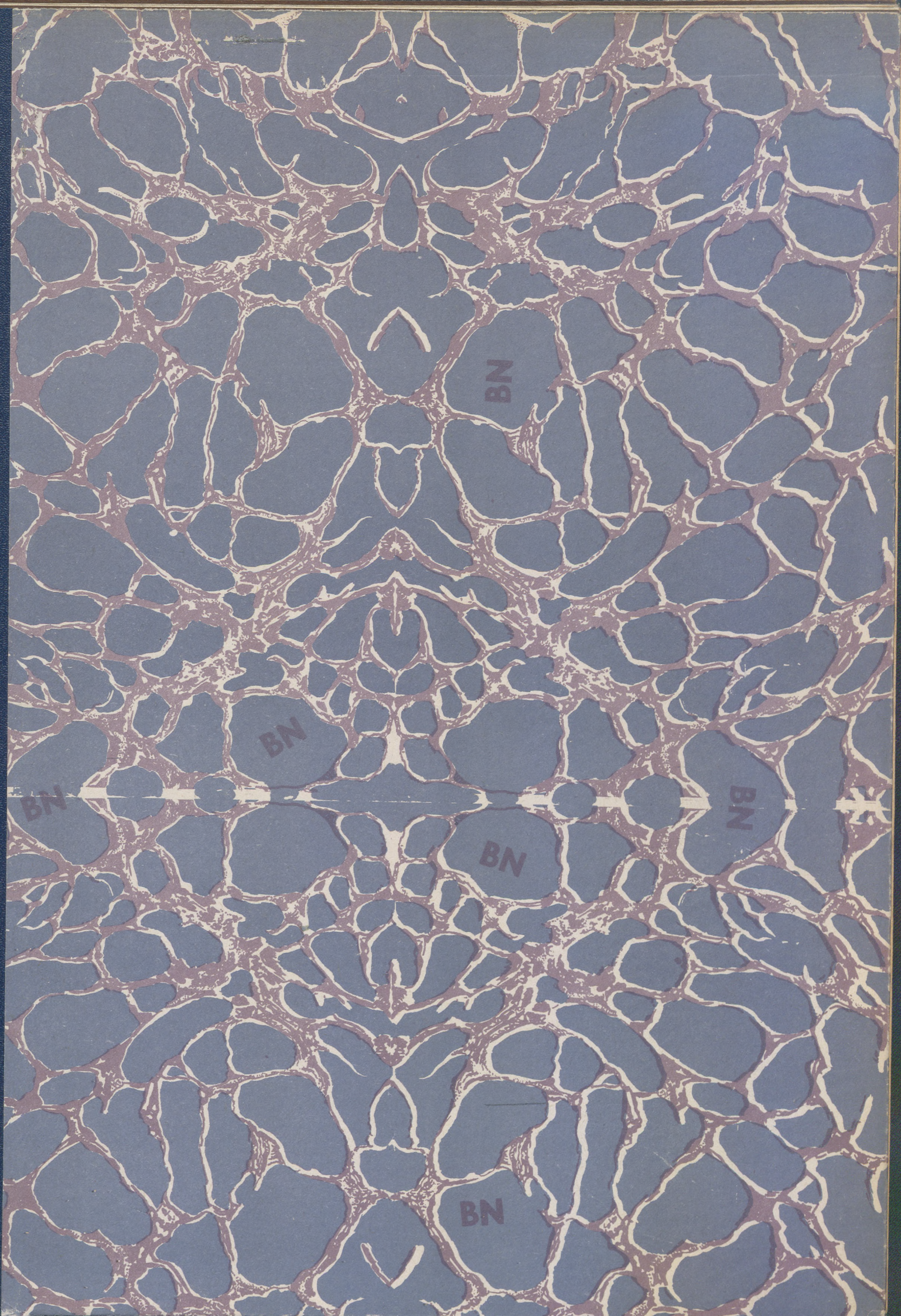


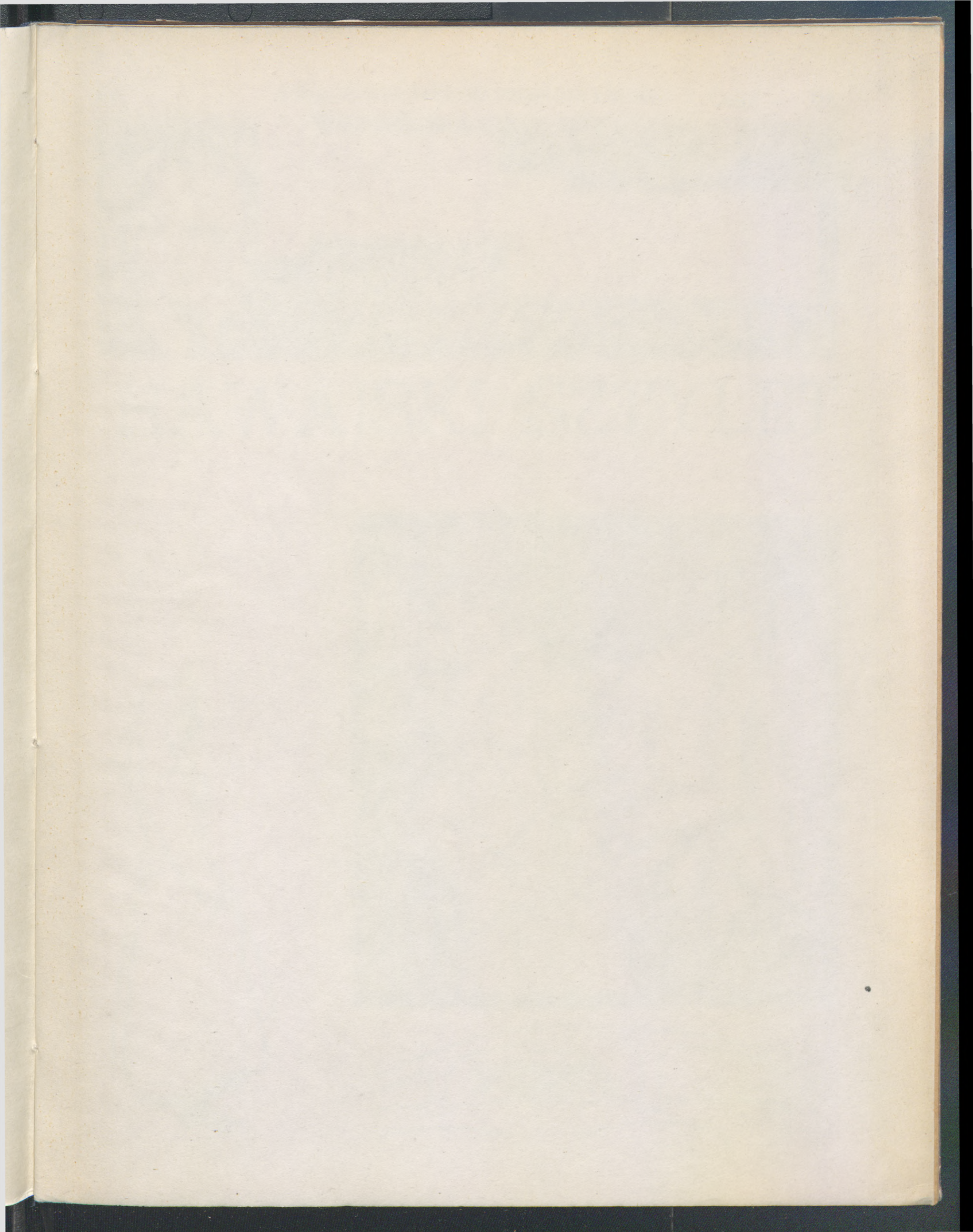
24

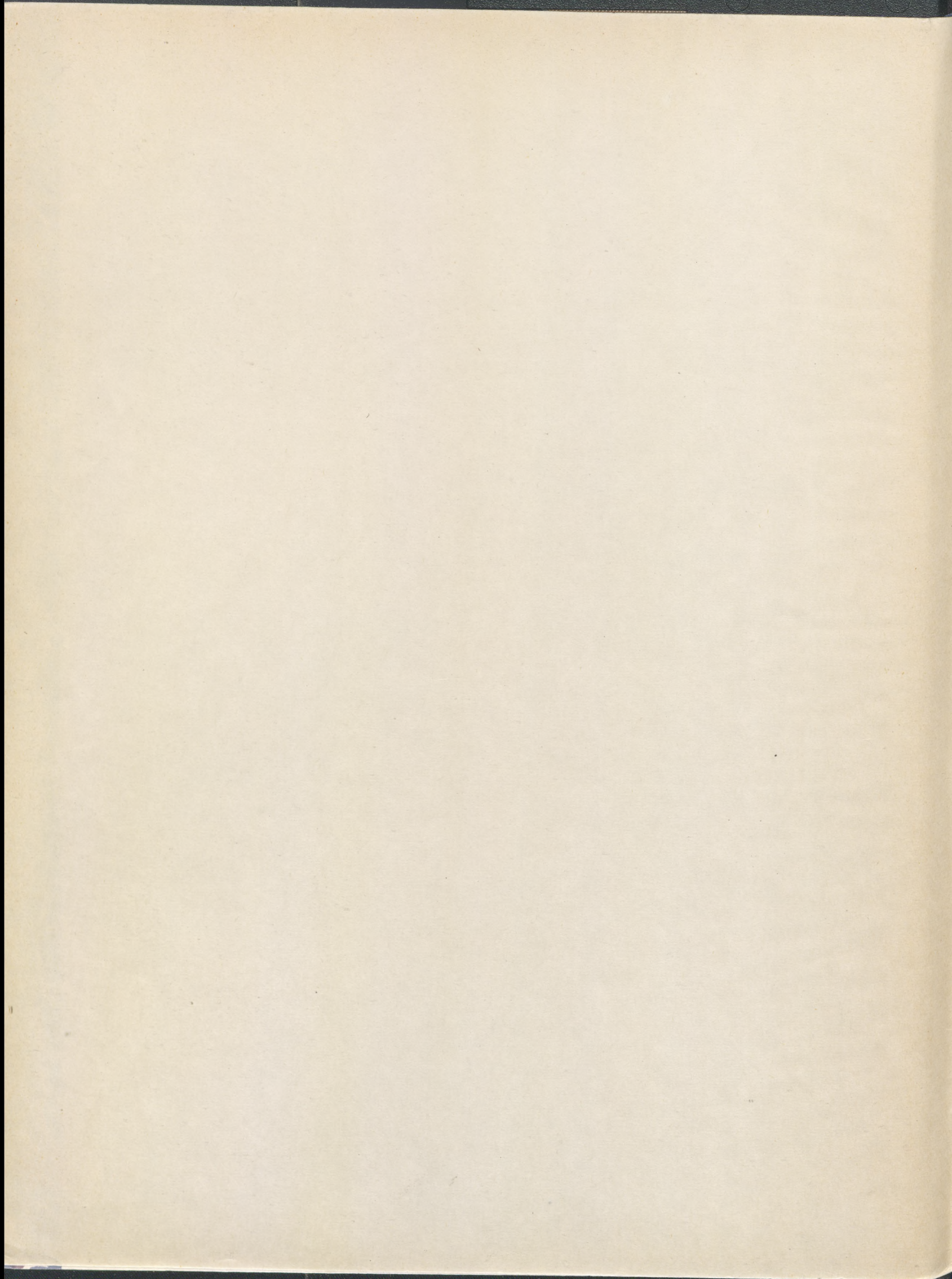
623405





This page is blank and contains no text or other markings.





III. 623.405/24  
Nr. 24.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



# HARRY DICKSON

PRZYGODY  
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

## HAWAJSKI SZTYLET





# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# HAWAJSKI SZTYLET

## W sytuacji bez wyjścia

Betty Marshall goniona resztkami sił, czuła dotkliwy ból i ogólne wyczerpanie. Cały dzień bląkała się po najodleglejszych dzielnicach Londynu, aż wreszcie zapadł wieczór, groźny wieczór zimowy, pełen bezlitosnego kwaru, siekący w twarz deszczem i wiatrem.

Ulica Greyhound - Road była jedną wielką kałużą topniejącego śniegu, wody i błota. Gdy Betty przechodziła obok podrzędnej jadalni, zapach baraniny przypomniał jej, że od czterdziestu ośmiu godzin nie miała nic w ustach. Otuliła się szczeniem swoim skromniutkim płaszczem pielęgniarce, nasunęła kapelusik głębiej na zmokłe włosy i szybko podażyła naprzód.

Szła prosto w stronę Tamizy, której błękitnawe blaski widziała zdaleka i bezwiednie niemal znalazła się w przystani „Pod Herbacianą Różą”. Była to raczej ironiczna nazwa dla tego nawpół przegniełego pomostu, wydzielającego woń stęchlizny. Przy promie stał otulony szerokim płaszczem przewoźnik. Ludzie zajmowali tu miejsca, Betty machinalnie weszła za innymi i usiadła na pokrytej pleśnią ławeczce. Przewoźnik wyciągnął do niej rękę i dziewczyna drgnęła, przerażona:

— Mój Bcże, nie mam ani grosza! — wyszeptowała.

Mężczyzna dobrodusznie skinął głową:

— Nic nie szkodzi, zapłaci mi pani jutro.

Był to chyba ostatni kredyt, jakiego jej udzielano i Betty uśmiechnęła się gorzko.

Zabrzniał gwizd ostrzegawczy, barka zakłysała się i wolno ruszyła naprzód. Dojechali do przeciwnego brzegu i pasażerowie rozproszyli się we mgle.

Betty zawahała się, poczym wyskoczyła z promu i ruszyła w ciemną noc, prosto, wciąż prosto przed siebie. Wielkie zbiorniki wody lśniły ponurym nocnym blaskiem po jej lewej stronie: były to rezerwuary Castelnuau. Okolica nie była tu przyjemna i Betty skierowała się w stronę słabo oświetlonej stacji Pamping. Dalej była już zupełna noc, nicość.

Oparła się o balustradę i wpatrzyła się w czarną i nieruchomą wodę kanału. O trzydzieści jardów od niej na lewo z okien tawerny pełnej mary-

narzy, padały czerwone blaski, słychać było nieukończenie smutny refrain piosenki:

„Spring“ odjechał na wyspy.

I już nie wrócił...

I nie powróci nigdy...

Płaczą śliczne dziewczęta w Londynie...

Tak, były śliczne dziewczęta w Londynie, które płakały, ale nie dlatego, że „Spring“ zaginął na Pacyfiku, ale dlatego, że były głodne i zziębnięte, że nie miały dachu nad głową że były w ostatecznej nędzy, ogarnięte rozpaczą.

— Jest około dwóch tysięcy bezrobotnych pielęgniarek w Londynie! —

Było to jedyne pocieszenie jakie otrzymywała od ośmiu dni, gdy zgłaszała się do szpitali do lekarzy, w najdalszych punktach miasta. Wyrzucono ją przed trzema dniami z mieszkania: pozostała jeszcze dłużna gospodyni piętnastocylingów. W Armii Zbawienia znalazła schronienie na trzy noce, ale było to maximum. Bóg jeden wie, gdzie będzie spała tej nocy, może na dnie czarnej rzeki...

Żelazne przesła mostu zatrzęszczały pod czymiś głuchymi krokami, policjant przechodził, trzymając latarkę w rękę.

— Czy pani szuka czegoś, Miss? Nie? A więc proszę nie pozostawać tu dłużej. To nie jest miejsce dla samotnych kobiet!

Podziękowała mu jednym słowem i przeszła przez most. Lampka strażnika oddalała się, jak jakaś zablakana gwiazda. Wiatr dał tak silnie, że most zaczął trzeszczeć, jak źle nastrojony instrument.

Nagle Betty doznała uczucia czyjejs obecności w pobliżu.

— Mademoiselle...

Dźwięk głosu był przytłumiony lecz miły

— Mademoiselle...

Odwrociła się, oczekując jakiejś obraźliwej propozycji, zdecydowana na desperacką odpowiedź.

Jakaś ręka uczyniła grzeczny ruch w stronę pilśniowego kapeusza:

— Podążam za panią już od trzech godzin, Mademoiselle.

Zaśmiała się tak ostro, że sama przelekła się tego dźwięku:

— No, jeśli będzie pan szedł za mną jeszcze przez kilka minut, możliwe, że znajdzie się pan na dnie tego kanału! — zawołała.

— W tym celu właśnie tu jestem, aby pani tego nie uczyniła — odparł mężczyzna.

Niemożliwe było dla Betty Marshall rozpoznanie jego rysów. Widziała tylko jego cień, niski i dość cięty. Poczula lekki zapach dobrego cygara.

— Mógłbym pomóc pani, Mademoiselle.

— Dziękuję, nie zwykłam korzystać z takiej pomocy — odparła, sądząc, że go dobrze zrozumiała.

Mężczyzna uczynił jakiś nieokreślony ruch.

— Zdaje mi się, że fałszywie oceniła pani moje zamiary, — rzekł łagodnie.

— A więc proszę mówić, Monsieur, mogę równie dobrze słuchać pana, jak plusku padającego deszczu, świstu wiatru i tej okropnej melodii, którą grają moje nerwy! — odparła, znów wybuchając śmiechem.

— Pani jest pielęgniarka, prawda?

— Skąd pan wie o tym?

— Nosi pani przecież na sobie ten strój.

— Ach, prawda, zapomniałam... ale pan ma dobry wzrok!

Zaśmiała się cicho.

— Rzeczywiście, mówiono mi to już, Mademoiselle!

Betty poczuła się nieco pewniej.

— Słucham pana, Sir, jeśli pomoże mi pan zrobić na życie i na dach nad głową, zrobi pan dobry uczynek.

— Oczywiście, chcę tego, ale jeśli chodzi o dobry uczynek, niech pani w to nie wierzy: nie jestem filantropem. Czy chciałaby pani objąć posadę.

— Kiedy, Sir?

— Ale... natychmiast?

— Oczywiście, ale gdzie?

— Zaprowadzę panią zaraz.

— Jest niemało innych pielęgniarek w Londynie. — rzekła, znów trochę nieufna.

— Weim o tym lecz żadna nie zechce przyjść do domu, o którym mówię. Musiałaby być, jak pani, w sytuacji bez wyjścia.

— Rozumiem... jakaś okropna zakazana choroba,

— Zupełnie nie. Chory, którego będzie pani musiała pielęgnować, jest niedorozwinięty, raczej chory z urojenia. Niech mu pani dać do picia słoną wodę, albo sok tytoniowy aby tylko było to wstrętne i miało wygląd lekarstwa. Pienią to nieważne.

— Nie rozumiem...

— Nie pacjent, ale sam dom wystraszył już odważniejszą od pani: w tym domu straszy...

Betty Marshall zaśmiała się poraz trzeci, ale tym razem już szczerzej i weselej.

— To bardzo interesujące, Sir, nie wierzę w duchy i mam wrażenie, że nie będę w nie wierzyła nigdy.

— Ale nie wtedy, gdy zamieszka pani w tym domu.

— Tym lepiej, poślą artykuł do „Dziennika Metafizycznego“.

— Niestety, nie będzie pani mogła tego uczynić gdyż pierwszym moim warunkiem jest utrzymanie w ścisłej tajemnicy wszystkiego, co może pani zobaczyć w tym przeklętym domostwie. Pensja jest dość dobra — jeden funt tygodniowo. Dom jest stary, bez nowoczesnych wygod, ale pani pokój jest

miły i ciepły. Będzie pani sama swoją pokojówką, gdyż służąca jest stara, nawpół głucha i ślepa, będzie tylko załatwiała dla pani sprawunki, gdyż pani nie wolno opuścić domu. Będzie pani otrzymywać dość pieniędzy, aby mieć pożywienie dobre, a nawet wykwintne, jeśli pani na tym zależy.

— Ależ pan ofiaruje mi raj na ziemi, Sir!

— Hm, chyba, że rajem na ziemi nazwiemy miejsce, gdzie śpi się w łóżku, w ciepłym pokoju i je się tyle na ile się ma ochotę.

— Być może, to prawda...

— Czy nie ma pani rodziców, ani przyjaciół, Miss Marshall?

— Boże, jak pan jest dobrze poinformowany! zawołała, trochę przestraszona.

— A więc dobrze, nie będzie pani składała wizyt na mieście, ani prowadziła korespondencji z kimkolwiek.

— Doprawdy, to dosyć dziwne...

— Proszę przyjąć, lub odrzucić — rzekł mężczyzna krótko, dając tym do zrozumienia, że rozmowa jest skończona i chciałby otrzymać decydującą odpowiedź.

Dziewczyna zawahała się. Zimny i wilgotny powiew wiatru przeniknął ją na wskroś; czarna woda kanału poruszyła się i zaszemrała ponuro.

— Niech tak będzie — rzekła cicho, — zgadzam się.

— Dziękuję... proszę iść za mną. Przejdziemy przez most Hammersmith, po tamtej stronie czeka moje auto.

Podczas piętnastu minut drogi nie zamienili ze sobą ani słowa. Zresztą Betty była zupełnie absorbowana walką z wichrem, który uderzał w nią z pasją, jakby chciał zerwać z niej cienki płaszczki z gabardiny i mały kapelusik.

Towarzysz jej szedł dwa kroki przed nią, pochylony od wiatru. Widziała, że był mały i krępy. Co pewien czas słyszała jego krótki, urywany oddech, musiał więc być już niemłody.

Most Hammersmith był lepiej oświetlony i spodziewała się tutaj wyraźniej ujrzeć swego tajemniczego zbawcę, ale pomyliła się. Kapelusz mężczyzny był głęboko nasunięty na oczy, a kołnierzyk palta tak wysoko podniesiony, że dotykał prawie runda kapelusza. Gdy weszli na most, mężczyzna przyspieszył kroku. Samotne auto stało przy ulicy Bridge-Road. Otworzył drzwiczki płaskim kluczykiem i gestem wskazał dziewczynie, aby usiadła. szło.

Gdy wsunęła się w miękki fotel i poczuła zapach benzyny, zdawało jej się, że przybiła wreszcie do bezpiecznej przystani po ciężkim dniu jaki dzień przeżyła. Towarzysz jej usiadł przy kierownicy i auto ruszyło.

Szyby zapryskane były błotem i nawet chusteczka Betty nie zdołała ich oczyścić. Pęd auta stawał się coraz szybszy. Tajemniczy człowiek prowadził je z zadziwiającą zręcznością.

— Dokąd jedziemy? — zapytała.

— Pani wie dokąd!

— Ale w jakim kierunku?

— To nie ma dla pani znaczenia, ale mogę panią jeszcze teraz odwieźć na most Hammersmith! — odparł niecierpliwie.

Betty umilkła i zagłębiła się w poduszkach. Światła skakały po obu stronach auta. Przejeżdżali przez ulice jeszcze ożywione, pomimo spóźnionej pory i fatalnej pogody. Dziewczyna zrezygnowała ze zorientowania się co do kierunku jazdy. Auto odda-

łał się chyba od Tamizy, gdyż nie widać już było ani lamp na moło, ani odbłasków rzeki. Przejędzali przez jakieś szyny kolejowe i Betty domyśliła się, że zjadają na przedmieście. Zauważyła szeregi nowych, lecz ponurych domów, potem znów wszystko znikło w ciemnościach. Wreszcie spostrzegła niski, długi mur, ponad którym widniały gałęzie drzew. Auto zwolniło bieg i nagle rozległ się dźwięk klaksonu w określonym rytmie: trzy krótkie, jedna długa... Machinalnie pomyślała Betty: litera „V” w alfabecie Morse’a.

Snop światła z reflektora padł przelotnie na szarą fasadę domu; w górze wznosiła się tarcza herbowa, którą dziewczyna ujrzała w świetle tej sekundy: dziwnego kształtu sztylet jawański pośród kilku obdrapanych figurek. Znów zaległa ciemność. Mężczyzna odwrócił się do niej:

— Jeszcze jest czas zawrócić, Mademoiselle. — rzekł wolno.

Betty Marshall rozkoszowała się ciepłem wewnątrz wozu, a zresztą ta jazda, łagodne poruszenia auta i szmer motoru jakgdyby ukołysały ją. Nie byłaby w stanie wrócić teraz na brzeg kanału na deszcz wiatr i nędzę.

— Zgodziłam się przecież! — szepnęła.

— To świetnie, Mademoiselle, myślę, że nie będzie pani żałowała!

— Czy ja pana jeszcze zobaczę? — spytała nagle. — Proszę nie zapominać, że będę zupełnie sama, wśród obcych...

Mężczyzna zastanawiał się.

— Możliwe, Miss Marshall. Gdyby pani kiedykolwiek potrzebowała mnie, proszę spytać gospodynię o doktora. To wystarczy

— Dziękuję, doktorze....

Zaśmiał się cicho.

— Może mnie pani i tak nazywać, — rzekł, — ten tytuł jest równie dobry, jak każdy inny. A więc wszystkiego dobrego i adieu!

Otworzył drzwiczki i pomógł jej wysiąść.

Ujrzała wysoki kamienny taras i otwarte drzwi do wąskiego korytarza słabo oświetlonego wenecką lampą.

„Doktor” podprowadził ją i znalazła się w vestibulu. Drzwi zamknęły się za nią, zanim zdała sobie z tego sprawę. Opanowana nagłym przerażeniem odwróciła się i usiłowała je otworzyć.

Nie ustąpiły: była uwięziona.

Z głębi ciemności ktoś szedł ku niej.

## Postrach pielęgniarek

— To już szósta w ciągu miesiąca!

Mrs. Hinchliff, doktor medycyny i zarazem dyrektorka szkoły pielęgniarek w Londynie, siedziała sztywno na krzeselku, które Tom Willis postawił dla niej naprzeciw biurka swego mistrza, Harry Dicksona.

Miała grube rysy, twarz pooraną zmarszczkami i gładkie włosy lśniące od wody kolońskiej. Nerwowo bawiła się swoim face-a-mains, a jej bezbarwne oczy utkwione były błagalnie w twarzy detektywa.

— Lekarze sądowi twierdzą, że to były samobójstwa — rzekł Harry Dickson.

— Nie mogę w to uwierzyć, Sir, — odparła dama, — wszystkie te dziewczęta były bardzo religijne i nie dopuściłyby się takiego przestępstwa, nawet w ostatecznej nędzy.

— Wielkie jest bezrobocie wśród pielęgniarek,

— rzekł cicho detektyw, — i zdaje mi się że nie uczyniono nic poważnego, aby temu zaradzić.

— Niestety to prawda, Sir, nasze instytucje wydają zbyt wielką ilość dyplomów i skazują tym wiele pielęgniarek na bezczynność. Moje środki są ograniczone; nasz komitet opiekuńczy również wyczerpał już wszystkie źródła, a nasz prezes, szlachetny Sir Burland musiał chować swoje czeki, tak był napastowany przez te nieszczęśliwe dziewczęta. Kiedy powiedziałam mu, że chce zobaczyć się z panem w sprawie tych kilku tragicznych zgonów, trochę śmiał się ze mnie, ale przyrzekł spotkać się tutaj ze mną i poprzeć moje spostrzeżenia.

Harry Dickson skinął głową: doktor Sir Burland był człowiekiem znanym którego detektyw spotykał w kołach naukowych. Powrócił do poprzedniego tematu rozmowy.

— Wszystkie zostały wyciągnięte z Tamizy, czyż tak, Mrs. Hinchliff?

Po twarzy doktorki przemknął cień przestrochu.

— Biedactwa! — jęknęła.

— Czy sądzi pani, że były jeszcze inne?

Uczyniła gest rozpaczy:

Czyż mogę wiedzieć? Oprócz tych, które należą do mojej instytucji, nie mam nad nimi żadnej kontroli.

Nie miała z pewnością nic więcej do powiedzenia i jej błagalne spojrzenie spoczywało w dalszym ciągu na twarzy człowieka od którego spodziewała się pomocy.

Harry Dickson patrzył na jej pomarszczone czoło, obwisłe policzki płaską pierś, zbyt obciśniętą czarną jedwabną bluzką, na jej całą postać nie miała i bez wdzięku. Czuł ile ją to musiało kosztować że przyszła tutaj prosić, gdyż musiała być przyzwyczajona do rozkazywania.

— A ostatnia z nich, to znaczy ta którą znaleziono dziś rano, któż to jest? — zapytał po chwili milczenia.

— Mary Lenson, dziewczyna trochę roztrzępana, z której nigdy nie byliśmy specjalnie zadowoleni, — brzmiała odpowiedź.

Nie było uprzejma, nawet w stosunku do zmarłej, — zauważył mimowoli Harry Dickson.

— Poważnie obawiam się o jeszcze jedną, — ciągnęła dalej Mrs. Hinchliff, powąchawszy przedtym flakonik z solami trzeźwiącymi, — o Miss Betty Marshall. Rozstałyśmy się trochę zagniewane: ona jest bardzo porywcza, choć doskonała pielęgniarka. Musiałam ją usunąć za zuchwalstwo. Potem dopiero dowiedziałam się, że ona nie ma żadnych środków do życia i wśród koleżanek wyrażała zamiary niemal samobójcze.

— Czy uczyniła pani coś, aby jej pomóc? — spytał Harry Dickson.

— Nie, Sir i proszę mi wierzyć, że żałuję tego

— Czy ona prosiła panią o pomoc?

— O pomoc nie, lecz o pracę.

— To jest różnica!

Rumieniec ukazał się na pergaminowych policzkach kobiety i wściekłość zabłysła w jej bladych oczach.

— Wyrażała się karygodnie śmiało, czego nie mogłam znieść u mojej podwładnej. Mówiła do mnie takie rzeczy, że mogłabym ją zaskarżyć i skazać, gdybym chciała.

— Och... Bóg jeden wie, czy nie skazała jej pani na śmierć, Mrs. Hinchliff!

Doktorka kłapnęła zębami, jak foką, ale nie-



wiadomo czy ze wzruszenia, czy ze złości. Zegar wybił dziesiątą. Mrs. Hinchcliff wyciągnęła zza białki wielki męski zegarek i spojrzała.

— Pański zegar dobrze chodzi, — rzekła z widoczną satysfakcją, Niecierpie spóźniających się zegarów, tak jak nie lubię ludzi niepunktualnych, bez względu na ich stanowisko. Tak, Sir Burland powinien już być tutaj.

— Czy to nie jego powóz zatrzymał się przed bramą? — zapytał Tom Wills, który wyglądał przez okno, zdając się być obojętnym wobec całej rozmowy jaka toczyła się w gabinecie jego mistrza.

— Powóz z końmi, tak? to jego. Sir Burland nie znosi aut.

Po chwili Mrs. Crown, gospodyni Harry Dicksona wprowadziła przybyłego.

Był to mężczyzna bardzo szczupły i wysoki, o nieokreślonym wieku. Delikatny, jak kamea, profil zdawał się należeć do młodzieńca podczas, gdy twarz porwana zmarszczkami, ściągnięte usta i złośliwe oczy znamionowały starca. Pozdrowił wszystkich krótkim skinieniem głowy. I nie czekając na zaproszenie usiadł w najwygodniejszym fotelu, zakładając nogę na nogę.

— Dzień dobry. Dickson, znamy się już, myślę, że nie trzeba się przedstawiać. Ten młody, to Tom Wills, prawda? Boże, jakież on jeszcze młody, a przecież ma za sobą najgorsze przygody waszego przeklętego zawodu! Ta dama i ja jesteśmy przyjaciółmi. I oto, dzięki kilku słowom, zaoszczędziłem wszystkim sporo czasu.

Harry Dickson uściśnął długą, wypielegnowaną rękę i zgodził się na wszystko skinieniem głowy.

— Mrs. Hinchcliff powiedziała panu wszystko, Mr. Dickson? To dobrze, Mrs. Hinchcliff jest szalona: chciała zobaczyć pana i wmówić panu, że pielęgniarce wyłowione z Tamizy zostały zamordowane. Ale co pan o tym myśli?

Detektyw wzruszył ramionami.

— Nie mogę jeszcze mieć własnego zdania w tej sprawie, rozpocznę śledztwo, a potem proszę mnie zapytać!

— A więc dobrze, niech pan rozpoczyna to śledztwo państwo zapalci i ja także, oczywiście, nawet gdyby ono nic nie wykazało.

Ton jego był sarkastyczny i niemiły, ale łatwo było zgadnąć, że było to skierowane przeciw doktorce. Ta ściągnęła wąskie usta, złożyła ręce i wzniosła płacziwie oczy w górę.

— Kiedy pani przestanie biadać, będziemy mogli porozmawiać, — rzekł Sir Burland, który nie umilkł jeszcze ani na jedną chwilę. Przerwał wreszcie, aby rozejrzeć się krytycznie po pokoju.

— Nowoczesne umeblowanie, hm... nie cenię tego specjalnie.

Oczy jego padły na ścienny zegar flamandzki i załśniły uznaniem:

— Piękna, stara rzecz, brawo! Kocham antyki i przypuszczam, że tylko dlatego jestem taki przywiązany do Mrs. Hinchcliff, która ma już chyba sto lat: to się widzi doskonale w jej sposobie myślenia, chociaż w rzeczywistości ma ona chyba trochę mniej. Och, och cóż to jest?

Wziął w rękę wspaniały przycisk do papieru, podarunek pewnego wschodniego księcia, któremu Harry Dickson wyświadczył kiedyś wielką przysługę.

— Szczere złoto! — zawołał z podziwem. Oczy jego rozbiły się. — Złoto! Kocham złoto, Mr.

Dickson, nie dla jego wartości, ale dla niego samego; jeżeli z dnia na dzień nawet stawałoby się brzydsze, jak ołów, moje przywiązanie doń byłoby niezmiennie. Mrs. Hinchcliff powiedziała panu zapewne, że ja dużo daję na cele dobroczynne, ale to tylko dlatego, że wystarczy podpisać czek. Jeżeli, jak za dawnych, dobrych czasów, musiałbym złożyć ofiarę ze złota, nie dałbym ani grosza! Ale to jest doprawdy nadzwyczajne, — westchnął, odkładając ceną drobnośćkę na stół. — Rozgrzewa mnie już samo trzymanie w rękę takiej bryłki szczerzego złota!

Rozmowa wkroczyła na inne tory i Harry Dickson skierował ją znów na sprawę zasadniczą.

— Chciałbym jeszcze otrzymać pewne wyjaśnienia co do tych tragicznie zmarłych, — rzekł. — Zdaje mi się, że pan nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia?

— Nie, — odparł sir Burland, — przyszedłem tutaj, aby poprzeć prośbę Mrs. Hinchcliff i zapewnić, że ja pokryję koszty. To był jedyny cel mojej wizyty, Mr. Dickson. Do licha, cóż za wspaniałą przycisk!

— Ale ja chciałabym jeszcze coś dodać do tego co powiedziałam Mr. Dicksonowi! — rzekła doktorka.

— Słucham panią, Madame.

— Oprócz Betty Marshall żadna z pielęgniarek nie rozpaczala tak bardzo nad tym, że nie ma posady. Trzy z nich miały dorywcze posady w szpitalach, nie były więc bez środków do życia. Poza tem...

Urwała, jakgdyby trudno jej było wypowiedzieć tę myśl.

— Pozatem? — nastawał detektyw.

— Ja... nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do piękności kobiecej, Mr. Dickson, uznaję tylko piękno duszy, ale... te wszystkie zmarłe dziewczęta były bardzo ładne!

— Hm... — mruknął Sir Burland, — to co pani mówi, moja droga, jest dość względne, ja myślę, że można to odnieść tylko do trzech z nich.

— Czy mógłbym prosić o ich nazwiska? — zapytał detektyw.

— Oczywiście Mr. Dickson: Sonia Tsanefi, z pochodzenia słowianka, Milly Bell, Laura Triggs. Detektyw notował szybko.

— A pozostałe?

Sir Burland podjął:

— Moim zdaniem zupełnie nieładne.

— Ale zdrowe i silne! — zawołała Mrs. Hinchcliff. — Czyż to nie jest piękność?

— Zgadzam się — odrzekł Sir Burland.

Harry Dickson dopisał jeszcze trzy nazwiska: Alice Bellamy, Katarzyny Zeller i ostatnia Mary Lenson.

— Dlaczego ich uroda i zdrowie zwróciły pani uwagę, Mrs. Hinchcliff? — zapytał.

— Bo sądzę, że z tej właśnie przyczyny znalazły się nieszczęsne dziewczęta w szpitalach ohydnych przestępców, jak to się często zdarza na drodze życia biednych, bezbronnych kobiet!

— Na przykład na drodze pani? — zadrwił Sir Burland.

Biedna kobieta zaczerwieniła się. Harry Dickson wstał.

— Nie chciałbym zatrzymywać państwa dłużej, — rzekł uprzejmie, — niezwłocznie zajmę się tą sprawą, gdyż może naprawdę jest to sprawa kryminalna!

— Na pewno! — zawołała Mrs. Hinchcliff.

— Pani chyba oszalała, — odezwał się Sir Burland. — Proszę iść ze mną, odwiezę panią moim powozem, chyba, że pani woli te nowoczesne żelastwa, taksówki.

Słychać było jeszcze ich sprzeczkę w westybulu, potem zgrzyt kół i trzaskanie batem oznajmiło ich odjazd.

— Uff! — westchnął Tom Wills. — Cóż za śmieszni ludzie! Ale kim właściwie jest Sir Burland?

— To bardzo wykształcony człowiek. Rząd powierzał mu już kilkakrotnie różne misje za granicą. Wiadomo o nim, że badał gruntownie śpiączkę w Kamerunie trąd na Wyspach Południowych, zarazę i cholere w Indiach. To człowiek bardzo ekscentryczny, mogłeś to zauważyć zresztą, ale uchodzi mu to, gdyż jest uzonym, a przede wszystkim dlatego, że jest bogaty.

— Podobał mu się pana przycisk do papieru!

Detektyw zaśmiał się i oświadczył Tomowi, że udaje się teraz do instytutu medycyny sądowej, aby spotkać tam doktora Redlawa.

Redlaw, znany lekarz sądowy, przyjął go z otwartymi ramionami; byli starymi przyjaciółmi, często pracowali razem.

Harry Dickson w kilku słowach opowiedział mu o prośbie Mrs. Hinchcliff i Sir Burlanda.

— Sam widziałem trupy tych nieszczęśliwych pielęgniarek — rzekł Redlaw, — i nie zauważyłem żadnych znamion przestępstwa.

— Trzy pierwsze były ładne, trzy następne zdrowe i silne, — rzekł machinalnie detektyw, powtarzając słowa lekarki.

Doktor Redlaw spojrział na przyjaciela uważnie:

— Czekaś, Dickson, muszę sobie przypomnieć, coś tu niebardzo się zgadza. Ładne... być może, choć ja nie mogłem tego dostrzec w ciałach, które leżały przed tym kilka dni w wodzie. Musimy uwierzyć na słowo mojej koleżance po fachu. Ale zdrowe i silne... o, mój drogi! Mam pewne zastrzeżenia! Pozornie może. Ale czekaj, zobaczę w moich prywatnych notatkach, które są zupełnie miarodajne. Chwileczkę.

Przerzucił kartki grubego zeszytu i nagle gwizdnął:

— Znalazłem. Oto te „zdrowe i silne“, jak je określiła Mrs. Hinchcliff. Zdaje mi się, że jako lekarce, dużo jej brakuje! Alice Bellamy, Katarzyna Zeller i Mary Lenson — wszystkie trzy chore na gruźlicę. Sonia Tsaneff — morfinistka, zupełnie zatruty organizm. Milly Bell — cierpiąca na złośliwe opuchlizny. Laura Triggs — także narkomanka, o zniszczonym zdrowiu. I gdzież jest ona, ta uczona Mrs. Hinchcliff?

Harry Dickson notował coś w milczeniu.

— Możliwe przypuszczać, że cię to interesuje Dickson? — rzekł lekarz.

— Być może! — odparł detektyw, popadłszy nagle w zadumę.

## Powrót Betty Marshall

Na biurku detektywa zadzwieczał telefon.

— Tu Mrs. Hinchcliff, Wyższa Szkoła Pielęgniarek — odezwał się urywany głos na drugim końcu przewodu. — Proszę natychmiast przyjść do mnie, Mr. Dickson: Betty Marshall wróciła.

— Doprawdy? Ona sprawia pani dużo kłopotów... więc cóż?

— Proszę przyjść i przekonać się osobiście. Ona jest niespełna rozumu, jest... nie umiem tego opisać. Ma gorączkę, bredzi, wydaje się zupełnie złamana i zarazem obłąkana ze strachu. Kazałam położyć ją na łóżku. Trzeba było rzemieniami związać jej ręce i nogi, miała prawdziwe napady furii. Opowiada o jakichś duchach i przerażających potworach. Zresztą sam pan zobaczy!

Detektyw nie czekał dłużej. Auto jego prowadzone przez Toma skręciło w stronę Aldersgate, gdzie znajdowała się szkoła Mrs. Hinchcliff. Dyrektorka czekała już, drżąc ze zniecierpliwienia.

— Prosz szybko, Sir!

Przeszli śpi esznie przez szerokie, białe korytarze, których olejno malowane ściany świeciły się, jak lustra. W powietrzu unosił się zapach jodoforu. Białe cienie dziewczęce przesuwały się bezszelstnie, kłaniając się grzecznie gościom w przejściu. W czytelniku grało cicho radio.

— Pokój 86, — przeczytała Mrs. Hinchcliff, otwierając jakieś drzwi.

Ujrzeni małą celkę, czyściutką i jasną. Starsza pielęgniarka wstała gdy weszli.

— I cóż, Miss Sturdee? — zapytała Mrs. Hinchcliff.

— 39 stopni gorączki, pani dyrektorko, chora nie poznaje nikogo. Opowiada jakieś straszne rzeczy bez żadnego sensu.

— Zobaczymy. Czy Sir Burland już przybył?

— Jeszcze nie, madame, ale zapowiedział telefonicznie, że natychmiast przyjeżdża.

— To dobrze, — odparła sucho przełożona, poczem zwróciła się do chorej, oddychającej z trudem, wyciągniętej na białym łóżku.

— I cóż, moja kochana Betty?

Chora otworzyła nieprzytomne oczy, utkwiała je na chwilę w twarzy Mrs. Hinchcliff i mrugnęła:

— Stary żołdat!

Dyrektorka podskoczyła.

— Zdaje się, że ona poznaje panią! — rzekła niewinnie Miss Sturdee.

— Proszę być bardziej uprzejmą, Miss Sturdee! — rzuciła przełożona.

Biedna pielęgniarka spuściła oczy i zadrżała:

— Ja... nie... myślałam nic złego, Madame!

— Dostyć!

Betty Marshall poruszyła się w swoich więzach i utkwiała oczy w dyrektorce z wyrazem nieopisanego przerażenia:

— Pani jest bardzo chuda! — szepnęła.

— A gdyby nawet tak było, moja droga? — odparła przełożona kwaśno. — To oznaka doskonałego zdrowia!

Oczy chorej przeniosły się na Harry Dicksona.

— On też jest bardzo chudy, — rzekła. — Czy żadne z was nie jest Śmiercią?

— Cóż za głupstwa, moja kochana Betty! — zawołała Mrs. Hinchcliff.

— Nie chcę, ażeby Śmierć mnie dotykała! — krzyknęła nagle Betty, usiłując oswojzić się.

— Zbliża się kryzys, — rzekła pielęgniarka Sturdee. Czy mogę dać jej zastrzyk na uspokojenie Madame?

I nie czekając na odpowiedź podeszła do łóżka ze strzykawką w rękę. Harry Dickson zatrzymał ją:

— Jeszcze nie, Miss! — rozkazał.

— Ależ ona wciąż mówi tylko o Śmierci, która przychodzi w nocy, aby ją zabrać! Widzi ją wszędzie. Przed chwilą powiedziała do mnie: „Jesteś za gruba, żeby być śmiercią, więc zostań przy mnie!”

Harry Dickson patrzył na nią uważnie, poczym lekko odsunął kołnierzyk koszuli, obnażając szyję dziewczyny.

— Och! — krzyknęła pacjentka, — nie duś mnie! Ja już dłużej nie mogę! Chcesz mnie zabić! Łaski!... Dlaczego przyprowadziłeś mnie do tego straszego domu, doktorze? Doktorze, błagam cię, przyjdź!

— Jakieś dziwne szramy! — rzekł Harry Dickson, pokazując szyję Betty. Po obu jej stronach widniały długie niebieskawe ślady.

— To są ślady palców, — mruknął detektyw, — i to palców dusiciela, który wiedział, jak się trzymo ludzką szyję, proszę mi wierzyć!

Spojrzał na znaki przez lupę i zachmurzył się:

— Dziwne! — powtórzył.

— Dlaczego, Mr. Dickson? — spytała doktorka.

— Niech pani spojrzy, Madame.

Dyrektorka wzięła lupę z jego rąk i spojrzała. Dickson zauważył, że drgnęła.

— Tak, — wyjąkała, — możnaby powiedzieć...

— Proszę więc powiedzieć! — zachęcił ją detektyw.

— To nie są ślady zwykłych palców, Mr. Dickson ale wydłużonych i kościstych, jak... — zawahała się.

— Jak palce szkieletu, — dokończył Harry Dickson cicho, jakby nie chciał być słyszany przez nikogo, prócz niej.

— Tak, Sir... to straszne i niewiarygodne, — szepnęła.

— Ten dom! — jęknęła Betty Marshall.

— Jaki to dom, drogie dziecko? — powtórzył detektyw, — Pójdę tam zaraz i ci, którzy sprawili ci cierpienie, będą uwięzieni. Jestem Harry Dickson.

Błysk świadomości ukazał się w oczach dziewczyny.

— Harry Dickson! — szepnęła z wysiłkiem, ale zdawała się być nieco uspokojona już samym dźwiękiem tego magicznego nazwiska.

— Jaki to dom, drogie dziecko? — powtórzył.

Oczy jej stały się poważniejsze, rozpaczliwie poruszała związanymi rękami. Szybkim ruchem detektyw pozbawił ją krępujących rzemieni. Uwolniona, chwyciła dłoń detektywa w swoje ręce.

— Harry Dickson, — szepnęła, — pan nie pozwoli mi już wrócić do tego domu Śmierci, prawda?

— Ależ napewno, maleńka! A zresztą taki dom wcale nie istnieje, to był tylko przykry sen!

Betty zdawała się nie słyszeć tych kojących słów:

— Cała szara, albo czarna... Wieczorem chodzi w ciemnościach.

— Kto taki, Betty?

— Śmierć! Zagląda przez szpary w drzwiach, rozsuwa firanki, aby zaśmiać się szyderczo prosto w twarz!

— Gdzie znajduje się ten dom?

— Auto tam trafiło, ale ja nie mogę. Doktor to wie, ale on nigdy nie wrócił, chociaż błagałam Margaret, aby go wezwała!

— Powiedz mi jeszcze coś o tym domu, moje dziecko! — prosił detektyw.

— Sztylet jakiś dziwny sztylet...

— I cóż, ptaszek powrócił do gniazdko? — odzywa się nagle dobrze znany głos.

W drzwiach ukazał się Burland.

— Oto Betty Marshall! — zawołała Mrs. Hinchcliff. Zjawiła się tu dziś rano, zablocona, jak pudel, nieprzytomna, szalona... Trzeba ją było skrepować, dopiero Mr. Dickson zdjął jej więzy — dodała trochę arogancko.

Sir Burland był zupełnie spokojny.

Proszę nie zapominać, że zajmuje się pan tą sprawą z naszego polecenia, Sir! — rzekł sucho.

— Pan jest w błędzie, Sir Burland, sprawy przybrały inny obrót od naszego ostatniego spotkania. Jestem tutaj przedstawicielem władzy.

— Dlaczegoż to? — spytał ostro lekarz.

— Ponieważ dziś rano otrzymałem od Scotland Yardu polecenie odnalezienia mordercy pielęgniarzki! — odparł zimno Dickson.

— Mordercy? A więc jednak były to zbrodnie? — zawołał Burland.

— Tak, — rzekł poważnie detektyw, — i dlatego proszę, aby nie mieszał się pan do śledztwa, które prowadzę. Powiedziałem wam dosyć i nie chcę dłużej tracić dla was czasu. Pozwalamy wam zostać tutaj, jeśli macie ochotę.

— Pozwala nam! — Mrs. Hinchcliff straciła na chwilę oddech ze złości.

— Jesteśmy u siebie! — zawołał Sir Burland.

— Tak, pozwalam, i to narazie wystarczy!

Harry Dickson dziwił się swemu zdenerwowaniu. Nie umiałby doprawdy wyjaśnić, dlaczego zachowuje się tak niegrzecznie w stosunku do gospodarzy tego domu. Czy dlatego, że wyczuwał z ich strony ukrytą nieżyczliwość dla tej chorej? Czy dlatego, że widział zupełną obojętność tych dwojga wobec nieszczęść młodych dziewcząt?

Ale wkrótce zrozumiał, że przeczcucie go nie zawiodło.

Sir Burland uspokoił się, a Mrs. Hinchcliff, nie czując za sobą poparcia swego prezesa również umilkła.

— Zresztą, Dickson, — pan przecież wie, co pan ma czynić i ja nie mogę panu dyktować metod postępowania, nawet w moim własnym domu!

Podczas tej rozmowy Betty Marshall leżała nie ruchomo z zamkniętymi oczami, dysząc ciężko.

— Betty — szepnął detektyw.

Usłyszała przyjazny głos i uśmiech pojawił się na jej wargach.

— Harry Dickson... trzeba znaleźć ten dom!

— Tak, tak, powiedz mi, Betty...

Nagle otworzyła szeroko oczy i z ust jej wydarł się okrzyk przerażenia:

— Sztylet z tego domu! Sztylet...

— Sztylet! — krzyknął jakiś głos za plecami detektywa.

Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał wykrzywioną przerażeniem twarz Miss Sturdee.

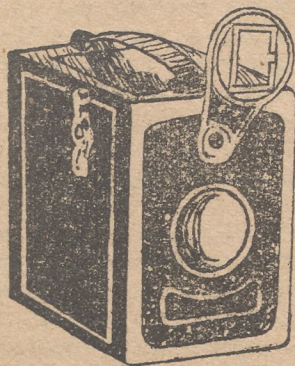
— Patrzcie! — krzyknęła, wskazując na łóżko i nagle osunęła się zemdłona na ziemię.

Harry Dickson zwrócił się do Betty i z kolei z jego ust wydarł się okrzyk wściekłości i grozy.

Twarz Betty skureczyła się w nadludzkiem cierpieniu oczy pokryły się bielmem, ręce poruszały się jeszcze słabo na piersi zbroczonej krwią. Tkwił w niej sztylet, zatopiony aż po rękojeść.

Rozległy się okrzyki Mrs. Hinchcliff i Sir Burlanda, którzy cofnęli się, bełkocząc ze strachu. Gdy po chwili zaległa cisza wszyscy troje spojrzeli po sobie oniemiałymi z przerażenia.

— Tutaj... zabita... zamordowana, w naszej obecności... — jękał Sir Burland



## APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały, popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania, od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord” wysyłamy w ozdobnym futerale, łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za Zł. 8.95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, WARSZAWA, Pl. Napoleona I,  
skr. poczt. 802 H. D.

Harry Dickson usiłował odzyskać spokój. Wyłał broń z rany i trzymał ją w rękach.

— Spójrzcie na tę nieszczęśliwą, — rzekł, obawiam się że śmierć nastąpiła natychmiast.

Mrs. Hinchcliff pochyliła się nad nią.

— To prawda, Sir...

Detektyw spojrzał na narzędzie zbrodni.

— Ciekawe, — szepnął, — sztylet jawański...

Owinął go serwetką i wsunął do kieszeni.

— W zamkniętym pokoju znajduje się pięć osób jedna z nich została zamordowana, — zaczął Sir Burland.

Harry Dickson uczynił ruch zniecierpliwienia:

To znana zagadka. Kto z pozostałych czworga jest mordercą, prawda? Chciałbym panu powiedzieć że takie rozumowanie nie ma sensu. Przestępca może znajdować się po za tym kwartetem, Sir. A propos kim jest Miss Sturdee, która jakoś późno odzyskuje przytomność?

Mrs. Hinchcliff udzieliła mu informacji:

— Ona pracuje u mnie już dwadzieścia pięć lat. Nie jest zbyt inteligentna, ale wierna, jak pies. Pan jej chyba nie podejrzewa, Monsieur Dickson!

Detektyw spoglądał na leżące na ziemi ciało, które z wolna powracało do życia.

— Zupełnie nie! — rzekł w końcu, odwracając się. Patrzył długo na zwłoki Betty Marshall poczym rzekł glucho:

— Nigdy nie zawiodę zaufania, jakie pokładałaś we mnie, biedne maleństwo. Przysięgam ci, że cię pomszczę i że przestępca, kimkolwiek on jest, będzie wisiał!

Mówiąc to odwrócił się gwałtownie i spojrzał Sir Burlandowi prosto w twarz. Ten nie drgnął nawet lecz zauważył ruch detektywa.

— Czy to eksperyment, Mr. Dickson? — zapytał ponuro. — To prawda że pan ma prawo podejrzewać wszystkich tu obecnych i mnie między innymi. Jeżeli uważa pan za słuszne zaarrestowanie mnie, nie będę się sprzeciwiał.

Harry Dickson potrząsnął głową.

Nie ma mowy o aresztowaniu pana, Sir!

— Ale jednak pan mnie podejrzewa?

Detektyw nie odpowiedział. Sanitariusze, wezwani dzwonkiem dyrektorki, weszli, aby zabrać martwe ciało Miss Betty Marshall, podczas gdy Miss Sturdee, oparta na ramieniu przełożonej odeszła do nalazł się sam na sam z Sir Burlandem. Podeszedł swego pokoju. Nastąpiła więc chwila, gdy detektyw do niego.

— Nie odpowiedziałem panu na pytanie, Sir, gdyż chciałem to uczynić w cztery czy z panem. Tak, Sir Burland, podejrzewam pana!

★

Zapanowała grobowa cisza.

Doktor Burland nie drgnął nawet, tylko jego małe oczki zabłysły wściekłością.

— A więc wojna, Dickson?

— Czy w czasie pańskich podróży nazywał pan także wojną ekspedycję karną?

— Hm, widzę, że umiesz znaleźć właściwe słowa w pewnych okazjach. Dickson!

— Tak, i będę to czynił dalej, Sir Burland! Przeważnie detetywi nie okazują tego, jeśli kogoś podejrzewają przeciwnie, ukrywają to starannie. Ale niechcę pana obrazić, traktując go w ten sam sposób. Musi być czysta gra między nami. Pan jest czło- wiekiem niezwykle inteligentnym i chyba zrozumiał pan od razu, że nie mogę pana podejrzewać!

Ale do udowodnienia, że Sir Oswald Burland jest zwykłym zbrodniarzem jest jeszcze bardzo daleko! Brakiem dowodów zblamowałbym się przed wyższą władzą.

Odkryłem panu moje karty, gdyż inaczej nie mogłem uczynić. Przypuszczam, że opuści pan Londyn na pewien czas!

— Orientuje się pan świetnie! — odpowiedział spokojnie uczony.

— Oczywiście. Wczoraj wieczorem Ministerstwo Spraw Zagranicznych obarczyło pana pewną misją do Ab'ysynii, jeśli się nie mylę!

— Moje uznanie! To prawda jeszcze dziś wieczorem wyjeżdżam do Marsylii, gdzie wsiądę na okręt, odchodzący do Afryki!

— Wiem że pan ma wpływowe znajomości, Sir — odpowiedział detektyw z wściekłością, — ale choćbym miał szukać w środku kuli ziemskiej, odnajdę pana i wtedy zda mi pan rachunek ze swych zbrodni! Narazie nie mogę tego dowieść i nie mogę przeciwstawić się pańskiemu wyjazdowi, niech pan jedzie... ale będę pana jeszcze miał w ręku!

Życzę powodzenia, Harry Dicksonie! Jest pan dość inteligentny, choć pańska wiedza naukowa nie przewyższa średniego poziomu. Jeszcze jedno pytanie, na które może mi pan odpowiedzieć, lub nie: czy dopiero od dziś uważa mnie pan za przestępcę?

— Ależ nie! Wiem, że jest pan człowiekiem bar- dzo wykształconym i jako takiego cenię pana, ale wiedziałem również dobrze, że Oswald Burland za- wsze był kryminalistą!

— Dobrze, — odrzekł doktor, nie przejmując się bynajmniej. — Lubię, gdy pan mówi tak szcze- rze. Czy będzie to niedyskrecją, jeśli zapytam pa- na o pewne szczegóły?

— Pan wiedział od kilku dni, a nawet tygodni, że wszystkie ślady prowadziły do pana i wiedział

pan także, że będę miał, gdy zechcę wszelkie dane z pańskiego podróżniczego życia! Dwa lata temu, gdy był pan w Indiach Holenderskich, młode tamtejsze dziewczęta znajdowano martwe w Surabaja, był pan wmieszany w tę aferę, a została ona zatuzszowana tylko dzięki bardzo wysokim wpływom. Poproszono pana jednak o opuszczenie kraju w jak najszybszym terminie z wyraźnym zakazem powrotu.

— I pan spostrzegł podobieństwo faktów, nieprawdaż?

— Przyzna pan, że to było logiczne!

— A czy powód tych czynów jest panu znany?

— Przyznam się panu szczerze, że nie, ale gdy go poznam, będzie pan o krok od szafotu!

— Bardzo rozsądnie pan rozumuje, pomimo pewnych błędów.

— Wiem dobrze, że będzie pan walczył do końca. Burland i dlatego nie sprzeciwiam się pańskiemu wyjazdowi, nawet w razie porażki nie będzie się pan ratował ostateczną ucieczką, samobójstwem.

— Jest pan świetnym psychologiem, Dickson, — rzekł Sir Burland i w głosie jego zadźwięczała nuta podziwu. Był pan ze mną szczerzy i odplacę panu tą samą monetą: od dziś za piętnaście dni pożegna się pan z życiem, jeśli nie da mi pan słowa honoru, że nie będzie pan zajmował się więcej tą sprawą.

— Wolę umrzeć za piętnaście dni!

— Nie wątpię w to, gdyż jest pan odważny. Niech pan szuka szczęścia, Dickson, a jeśli nawet znajdzie pan je, będę się z pewnością z tego cieszył, choćby nawet cień szubienicy padł na mnie! Adieu!

— Do zobaczenia, Sir!

— O, to już coś znaczy... a zresztą, czy można wiedzieć? Ja także muszę się liczyć z nieprzewidzianymi wypadkami!

Rozmawiali bez nienawiści, chłodno, wiedząc, że są przeciwnikami o równej wartości.

— Czy zna pan słowa pożegnania — rzekł Burland — księcia Oranu do księcia Egmontu? „Adieu, książę bez głowy!” Pozwoli pan, że strawestuję te historyczne słowa, mówiąc panu: „Adieu, detektywie bez życia!”

Skłonił się głęboko i w chwilę później zadźwięczały kopyta końskie i powóz potoczył się przy wtórze dzwonek.

Harry Dickson powrócił na Bakerstreet.

★

Późnym wieczorem Harry Dickson odłożył nagle swoją fajkę i Tom Wills usłyszał jego wściekłe złorzeczenia:

— Przekleństwo!

— Co się stało, mistrzu? — zapytał.

— Chodzi o Miss Sturdee! Czy pamiętasz tę scenę, którą ci tak wiernie odtworzyłem? Ona wydała ten sam okrzyk, co Miss Betty: sztylet! Ach! Burland miał rację, że popełniłem już wielki błąd!

— Nie rozumiem...

— Czekaj zaraz zrozumiesz. Dlaczego ona krzyknęła? Gdyż widziała! I dlaczego zrobiło jej się słabo? Przecież będąc już od lat pielęgniarzką musiała napewno oglądać jeszcze straszniejsze rzeczy! Ale to, co tym razem ujrzała było tak niesłychane... że straciła przytomność... Mój Boże, co za spóźnienie! Obawiam się, że mogło ono być fatalne dla tej nieszczęśliwej kobiety!

Już zbiegał ze schodów, krzycząc do Toma, aby natychmiast przygotował samochód. Po upływie

kwadransa byli przed Szkołą Pielęgniarek w Aldersgate.

— Do pokoju Miss Sturdee! rzekł do dozorca, który mu otworzył, pokazując mu równocześnie odznakę policyjną.

— Już pana uprzedzono, Sir — zapytał dozorca. — Miss Sturdee rzeczywiście umarła...

— Za późno! — jęknął detektyw. Zastanawiał się przez chwilę, poczym twarz jego spoważniała — Proszę zaprowadzić mnie do przełożonej.

— Dobrze, Sir!

Przeszli przez ten sam biały korytarz, co rano, ale teraz oświetlały go małe lampki, radio nie grało, nie widać było przemykających cieni. Portier zapukał w okno obite materacem.

— Proszę wejść! — zawołał jakiś głos krótko.

Mrs. Hinchliff siedziała wpatrzona w białą kartkę leżącą przed nią na biurku i zdawała się być pogrążona w głębokiej zadumie.

— Mr. Dickson! — rzekła. — Oto wizyta, która zaoszczędzi mi napisania trudnego listu, jaki chciałam jeszcze dziś wieczorem do pana posłać!

— To zbyt cenne: Mrs. Hinchliff, w imieniu króla aresztuję panią. Uprzedzam, że wszystko, co pani powie, może być skierowane przeciwko pani!

— Bardzo dobrze, — odparła bez widocznego wzruszenia, — poszłabym z panem, gdyby to było potrzebne. Ale za późno...

Spojrzała na duży męski zegar:

— Zrozumiałam wszystko dziś rano, Mr Dickson ale przysięgam panu, że nie miałem pojęcia o tych strasznych zbrodniach, na osobach moich pielęgniarek. Przysięgam panu, a wkrótce nie ośmieli się pan nie wierzyć w to, co mówię!

— Nie przeczę, Madame, ale śmierć Miss Sturdee...

— Za to jestem naprawdę odpowiedzialną, lecz ona umarła bez cierpień, zdam z tego sprawę przed Bogiem!...

— Nieszczęsna! — krzyknął detektyw.

— Nie tak bardzo, jak się panu zdaje, Mr. Dickson! Wkrótce umrę, czuję, że trucizna, której zażyłam, już działa, cierpię, a Miss Sturdee nie cierpiała! To początek mojej kary. Umrzeć dla kogoś, kogo się kocha, jest rzeczą piękną!

— Oswald Burland! — szepnął detektyw.

— Kochałam go, Sir, i jeszcze teraz go kocham Mam nadzieję, że będę żyła w jego wspomnieniu.

Oslabła nagle i detektyw skoczył, aby ją podtrzymać. Ale Harriet Hinchliff stała już przed sądem Boga.

## Wojna

W pięć dni później dzienniki wieczorne zamieszczyły nowinę na pierwszych stronach:

**„Ogromna strata dla wiedzy!**

**Sir Oswald Burland nie żyje!**

**Straszny wypadek samochodowy!**

„Przerażający wypadek samochodowy okrył żalobą naukę. Sir Oswald Burland znany angielski lekarz, jechał wczoraj wynajętym autem wzdłuż Corniche, gdy nagle spostrzeżono, że samochód skręcił i stoczył się w dół po kamieniach. Gdy ludzie przybyli na miejsce wypadku i wyciągnęli nieszczęśliwego uczonego ze szczątków wozu, już nie żył...”

Taka była wiadomość, którą dzienniki londyńskie przedrukowały z gazet marsylskich i tuluskich.

## CUDA I TAJEMNICE CZARNEJ I BIAŁEJ MAGJI

każdy, kto chce wzbudzić w sobie zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magji, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Lustro magiczne, latający zegar. Tańczące jabłko. List w jajku. Jajo w butelce. Spiewająca fiaszka. Sztuki z rachunkami, z kartami, z zakresu akustyki, optyki, pirotechniki. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3,95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I Pl. Napoleona skr. poczt. 802 H.D.



**NIE ZWLEKAJ SZYBKO ZAMAWIAJ!**  
UWAGA: Bezpłatnie dodajemy najnowsza wszechświatową książkę p. t. „Sztuka wróżenia z kart i rak” według słynnej wróżki Napoleona I. P. Lenormand.

Harry Dickson odłożył Times'a i trwał parę minut w zamyśleniu.

— Sposób ten jest zbyt tradycyjny, aby dać się na to nabrać, — szepnął, — z drugiej strony Oswald Burland był zbyt zręczny, aby uciekać, się do sztuczki tego rodzaju. Ale czy można zresztą wiedzieć?

Zawołał Toma, który pracował w bibliotece.

— Mój chłopcze — rzekł — samolot pocztowy wyrusza za dwie godziny z Croydon do Tuluzy. Stamtąd jest jeden krok od transportu lotniczego Latocoere, który cię zawiezie w parę chwil do Marsylii. Odwiedzisz tam angielskiego konsula i w moim imieniu poprosisz, aby ułatwił ci zobaczenie zwłok Sir Burlanda, który jeszcze nie jest pochowany. Uważaj dobrze, czy będzie to ciało Burlanda, czy zwłoki jakiegoś innego człowieka. Znasz go dość dobrze, aby wytropić jakiś podstęp. Zatelegrafuj mi zaraz o rezultacie tego śledztwa.

Tom Wills schodził już ze schodów, potrącając po drodze Mrs. Crown.

Nazajutrz rano detektyw otrzymał już jego odpowiedź. Nie można było się mylić... Oswald Burland już nie żył...

Tom zbadał zwłoki bardzo uważnie. Zauważył na lewym policzku oparzeliznę od jakiegoś kwasu. Tego rodzaju stygmatów nie można podrobić w ciągu paru dni i dzięki pomocy lekarza sądowego stało się oczywistym, że znak ten istniał już od paru lat. Tom zawiadomił również, że wkrótce wyśle samolotem odciski palców zmarłego.

Harry Dickson postanowił porównać je z tymi, które doktor Burland pozostawił na złotym przycisku do papieru. Oczekiwał więc przesyłki z niecierpliwością. Nadeszła o świcie dnia następnego.

Odciski zgadzały się omyłka wobec tego była wykluczona.

Aktorzy tajemniczego dramatu zeszli już z ziemskiej sceny.

★

Tom Wills miał powrócić z Marsylii nazajutrz historia, która miała dowieść detektywowi, że wojna, wypowiedziana przez kryminalistę Burlanda, będzie dalej toczyć się nawet po jego śmierci.

Już pierwsza faza przedstawia się w sposób niesamowity.

Tom Wills miał powrócić z Marsylii nazajutrz i dom na Bakerstreet wydawał się detektywowi pusty. Pracował on dużo w ciągu dnia i odczuwać już zaczął pewne zmęczenie. Postanowił więc spędzić

parę godzin w swym klubie. Poprosił kierowniczkę klubu, panią Delmer, do telefonu i dowiedział się, że tego wieczoru obecni są tylko Mr. Lommerset, autor dramatyczny, matematyk Derrington i mistrz szachów Sandor.

Te nazwiska odpowiadały detektywowi, który zapowiedział swoje przybycie.

Wieczór był jasny i chłodny, Dickson postanowił pójść pieszo. Lodowaty wicher chłodził trochę jego rozgorączkowaną całodzienną pracą głowę i ożywił jego krew zagrzaną przez zbytnie ciepło, panujące w jego gabinecie. Szedł lekkim krokiem po zamazniętym bruku. Skręcił na Knightriderstreet. Nagle ktoś go zapytał.

— Czy pan to zgubił, Sir?

Jakiś gentleman ubrany staromodnie w grubą surdut wyciągnął do niego jakiś przedmiot błyszczący w ciemności, ale którego detektyw nie mógł dokładnie określić.

— Nie przypuszczam, — odparł — a co to jest?

— To jest skrzyńeczka, zdaje mi się, dość drogocenna, może być ze srebra, mam wrażenie, że jest tu nawet imię wyryte na pokrywce, ale nie mogę go odczytać, słabo widzę...

Harry Dickson pochylił się i... to było wszystko.

Miał wrażenie, że znalazł się w nagłych ciemnościach, które go porwały w okropny jakiś wir. Potem poczuł kołysanie się samochodu, który go unosił w dal.

Obudzenie się jego było przerażające. Zwykle gdy w grę wchodzi środki oszalałające jak narkotyki, napoje lub jakieś gazy, których działanie jest piorunujące, powrót, do świadomości jest dla ofiary ogromnie przykry.

W tym jednak wypadku Harry Dickson nie odczuwał nic podejrzanego, umysł miał jasny, a mózg pracował bez zarzutu. Siedział w samochodzie, stojącym na moście, który poznał momentalnie: Hammersmith.

Lecz zarazem ocenił natychmiast ogromne szczęście, które stało się jego udziałem. Przechylając głowę na lewą ramię poczuł, że ubranie jego jest przesiąknięte oleistą masą, wydającą ciężki zapach.

Płynny odurzający gaz, który trysnął z pudełka, został źle skierowany przez napastnika, ogłuszając tylko zlekką detektywa.

Drzwi auta nie były zamknięte na klucz i w sekundę potem Harry Dickson oddychał ostrym powietrzem pobliskiej rzeki.

Nie miał wiele czasu do namysłu, trzeba było działać i wyciągnąć jaknajwięcej wniosków z niedanego napadu.

Światła policji rzecznej świeciły na sto kroków przed nim. Harry Dickson pobiegł tam. Agent policji spał nad gazetą.

— Dobry wieczór, — rzekł Dickson — i pokazał swój znaczek.

Mężczyzna mrugnął oczyma.

Mister Dickson! Nie musi pan pokazywać swojej oznaki agenta, znają pana dość dobrze! Czy stało się coś?

— Czy może pan pożyczyć mi swój rower i wiadro wody?

Uzbrojony w wiadro, detektyw podbiegł do auta, uniósł numer i wlał parę litrów wody do rezerwuaru.

— W ten sposób mogę być przekonany, że tajemnicza maszyna będzie mogła być mi pożyteczna w tej pogoni — szepnął.

Pobiegł, aby zwrócić wiadro policjantowi i wrócił akurat w momencie gdy auto ruszało z miejsca. Pomknęło na północ i detektyw dobrze przewidział co zajdzie. Motor samochodu rwał, sapał, zmuszając szofera do częstych zmian szybkości. Pedalując z zapalem, Dickson trzymał się w przyzwolonej odległości.

Auto przejechało ludną dzielnicę Hammer-smith, potem Latimer road, wreszcie skierowało się przez Wormwood do Willesden Green. Harry Dickson poznał dzielnicę nawpół nowoczesną, nawpół starą.

Pretensjonalne budowle, a jednak uszkodzone zębem czasu, pomimo ich odświeżeń, ciągnęły się wzdłuż nędznych ogrodów.

Dickson usłyszał nagle kilka sygnałów klaksonem poczym auto skręciło i zniknęło.

Lecz detektyw spostrzegł, w którym miejscu sygnał został dany. Było to przed spróchniałymi drzwiami, otwierającymi się w długim murze obwodowym, ozdobionym kilkoma suchotniczymi drzewkami. Ulica była ciemna, ale jedyna latarnia gazowa dawała światło, wystarczające detektywowi do zbadania tych drzwi.

Nagle krzyknął z radości: skruszała tarcza herbowa na niej figurki, otaczające sztylet hawajski.

— Sztylet hawajski.

Przyszła mu na myśl tajemnicza sprawa pielegniarek.

Przyglądał się emblematowi z ogromną uwagą.

Spojrzał na zegarek: cała historia nie trwała więcej niż godzinę.

Odstawił rower na posterunek policji i postanowił resztę wieczoru spędzić w klubie.

Taksówka szybko zawiozła go na miejsce.

Sandor i Lommerset kończyli partię szachów, którą zaczęli trzy dni temu, i której poszczególne faz zapisywali skrupnie w notesach.

— Jest pan zpowrotem, Dickson? — spytała Lommerset. — Chce pan asystować przy zwycięstwie Sandora?

Zpowrotem! Słowo to uderzyło detektywa: nie rozumiał o co chodzi.

— O, nie jestem tak bardzo zainteresowany wazą grą! — odparł, pilnie czekając na odpowiedź Lommerseta.

Przypadek przyszedł mu z pomocą:

— To prawda cały czas siedział pan w niebieskim salonie, zamknięty z tym wariatem Derringtonem i rozprawialiście o tych mętnych teoriach Einsteina, jak zwykle, aż do czasu, gdy telefon zawezwał Derringtona. Założę się że, gdy pan z nim wyszedł, toczyliście na ulicy tę samą rozmowę na tematy matematyczne.

Ma pan zupełną rację, — odpowiedział Harry Dickson, śmiejąc się, ale myślał o czymś innym.

— A więc byłem tutaj z Derringtonem i wyszedłem wraz z nim! Cieszę się, że się o tym dowiedziałem! Co o tym powie Mrs. Delmar?

Kierowniczka klubu siedziała w swym prywatnym salonie. Podniosła na detektywa swoje śliczne oczy.

— Czy nie zauważyła pani, Mrs. Delmar, kiedy przyszedłem tu dziś po raz pierwszy, czy miałem z sobą laskę ze srebrną gałką? — spytał.

— Jak to możliwe, Mr. Dickson, proszę sobie przypomnieć, przecież ja nie otwierałam panu wca-

le drzwi! Pan Derrington przyszedł właśnie, gdy odepierałam się od drzwi, był w korytarzu i krzyknął mi, żebym się nie fatygowała, że sam otworzy. Potem słyszałam tylko, że powiedział panu: „Dobry wieczór“ i została u siebie.

— Wobec tego będę musiał zapytać profesora, bardzo mi zależy na tej lasce. Czy może mi pani podać jego adres?

— Mieszka niedaleko, trzecia ulica na lewo, drugi dom, dziwaczna rudera o niskich oknach, z kulą ziemską wyrzeźbioną w drzewie na drzwiach, pozna ją pan wśród tysiąca innych!

Detektyw poszedł za jej wskazówkami, bez trudu znalazł mały domek z kulą ziemską, ale napróżno pukał do drzwi: nikt się nie zjawiał. Wreszcie sąsiadnie okno otworzyło się i jakiś głos zapytał o przyczynę tego hałasu o tak późnej godzinie.

— Chciałbym mówić z profesorem Derringtonem! — krzyknął.

Sąsiad wychylił się z okna:

— Wobec tego przypuszczam że będzie pan długo pukał, profesor Derrington od wien już dni nie otwiera nikomu, a jego pies wciąż wyje. Chciałem już jutro zawiadomić policję.

Okno zamknęło się z trzaskiem.

— Do licha, — szepnął detektyw — sprawa się komplikuje! A jeżeli wyprzedzę wizytę policji zapowiedzianą przez sąsiada?

Z łatwością otworzył drzwi wytrychem i wkroczył do hallu gdzie paliło się słabe światło gazowe. Usłyszał lekki szelest, a potem żalosne szczekanie: mały, czarny piesek przybiegł i zaczął ocierać się o nogi detektywa.

— Mój maleńki, — rzekł pieszczotliwie detektyw, — gdzie jest twój pan?

Inteligentne zwierzę zdawało się rozumieć i pociągnęło detektywa za sobą na schody. Harry Dickson poczuł jakiś cikliwy i przejmujący zapach. Pies biegł przed nim, a przybywszy na piętro zaczął węszyć przed zamkniętymi drzwiami. Detektyw otworzył je i cofnął się, uderzony zatrutym powietrzem, które panowało w tym pokoju. Pies zawył przeciągle i rzucił się naprzód.

Elektryczna lampka Dicksona rozjaśniła mroki. Ujrzał poprzewracane meble, rozrzucone w nieladzie książki, a wreszcie ciemny kształt, leżący w nogach łóżka.

Był to profesor Derrington, z woskową twarzą, zapadniętymi wgłęb oczami i okropną, czarną raną pod brodą.

Śmierć nieszczęśliwego matematyka musiała nastąpić już przed kilku dniami.

## Na moście Hammerstmith

Następnego dnia Harry Dickson dowiedział się kilku szczegółów: profesor Derrington nie był w klubie już osiem dni lecz zapowiedział telefonicznie swe przybycie, parę chwil przed telefonem detektywa. Pomimo wszystko, Dickson musiał podziwiać znakomitą przytomność umysłu nieznanego wroga. Wszystko obmyślone było do najdrobniejszego szczegółu. Podczas, gdy on był uwięziony, jego obecność w klubie została skonstatowana. Był tu wyraźny zamiar zmylenia śladów, ale czy nic więcej? Harry Dickson wątpił w to, ale nie mógł znaleźć innego powodu.

Tegoż ranka otrzymał ze Scotland Yardu informację:

— Odnośny dom, zwany Bantam - House, stoi na opustoszałym terenie, który lada dzień ma być

## Sensacyjna nowość 1938!! Automat-pistolet „GROM“



Fason belgijski Kal. 6-cio mm. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający. Idealna ochrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rękojeść kryta lśniącym bakelitem! Waga 200 gr dług. 10 cm. szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena

tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Setka naboju syst. „Flobert“ zł. 3.65. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona I. skrz. poczt. 802 H. D. Uwaga! Wystrzegać się taniej tandety, polecanej przez pokatnych sprzedawców, którzy przyrzekają magazynki, naboje, futerały i nie dodają. Zamawiając u nas, be dziecie zadowoleni.



oddany do dyspozycji towarzystwa dróg żelaznych. Mieszka tam jedynie stara gospodyni, już od osiemnastu miesięcy. Dom należy do obywatela holenderskiego, Cornelis van Mylen, który podobno nie jest człowiekiem białym. Opuścił on od tego czasu Anglię. Dom nie jest ani do sprzedania, ani do wynajęcia. Właściciel jego zawiadomił swego pełnomocnika, pana Belair z Ludgate, że pewnego dnia powróci i znów tam zamieszka. Nie ma w tym nic podejrzanego.

Detektyw zamierzał początkowo zatelefonować do M. Belair'a ale zastanowił się nad tym. Nie dlatego, aby nie ufał temu człowiekowi, ale plany jego wymagały ścisłej dyskrecji.

Więcej, niż godzinę, spacerował po swym gabinecie pogrążony w zadumie.

Tom Wills ma powrócić, a jest to wymarzony człowiek do takiej roli, ale czy ośmielił się jemu to powierzyć, wobec tak groźnego przeciwnika? Nie trzeba samemu się poświęcić... ale jak to zrobić?

Nagle uderzył się wczelo i w chwilę później opuścił Bakerstreet, kierując się w stronę Whitechapel - Road.

...Pokój Miss Lizzie Bronson, był czyściutki i miły. Lokatorka jego dbała ogromnie o to, aby ani jeden pyłek nie osiadł na mebelkach.

— Proszę wejść! — zawołała miłym głosem.

Na widok gościa zerwała się:

— Mister Dickson! Cóż pana sprowadza do mnie?

— Rzecz bardzo pomyślna Miss Lizzie. Coś, co pozwoli pani spędzić przemilny urlop w Paryżu, albo w Mentonie, z odpowiednio wysokim czekiem w kieszeni, aby pani ten czas uprzyjemnić.

— Świetnie! — odpowiedziała Miss Bronson bez zdziwienia, — Rozumiem, że muszę opuścić Londyn na pewien czas. O, mądry Harry Dicksonie! Jeśli chce mi pan dać jakieś wyjaśnienie w tej sprawie, to proszę bardzo!

Harry Dickson, spojrzawszy na nią ubawiony. Była to względnie młoda jeszcze kobieta, wysoka i szczupła, lecz silnie zbudowana.

— Jest pani pielęgniarką, prawda, i jak tyle innych, bez zajęcia?

— Takie to czasy teraz! — westchnęła.

— Czy mogę zobaczyć pani uniform? Tak? A

więc proszę, Miss Lizzie, i jeśli pani pozwoli, stanę na kilka chwil przed toaletką.

Lizzie Bronson musiała znać trochę Harry Dicksona, gdyż nie okazała nawet cienia zdziwienia. Wyjęła z szafy strój pielęgniarki i podała go detektywowi, poczym usiadła spokojnie, czekając co dalej będzie. Mimo wszystko jednak nie oparła się o gromnemu zdumieniu: przed lustrem toaletki pojawiła się nowa postać.

— Na litość boską, czy to ja jestem Lizzie Bronson pielęgniarką dyplomowaną, czy ty, czarodzieju?

Harry Dickson zaśmiał się serdecznie. Ubranie Lizzie było wprawdzie trochę ciasne, lecz mimo to pasowało doskonale. I doprawdy, w małym pokoiku na Whitechapel stały w tej chwili dwie Lizzie Bronson!

— Jestem pewna, że ktoś będzie wisiadł, gdy pan się tak przygotowuje, Mr. Dickson — rzekła pielęgniarka.

— I ja mam tę nadzieję, Miss Lizzie!

— A więc czemu zawdzięczamy przyjemność widzenia pani?

Wieczorem Tom Wills powrócił z Marsylii i Harry Dickson miał z nim długą rozmowę, którą zakończył w ten sposób:

— Możliwe, że będę potrzebował pomocy, musisz więc dyskretnie obserwować dom, mając ze sobą silną eskortę policjantów. I uważaj pilnie na kominy..

— Zrozumiano! — zawołał Tom, mrużąc jedno oko.

Nazajutrz Harry Dickson rozpoczął akcję.

★

— O, to pani, Miss Bronson? Nie widać tu pani często chyba więc dobrze się pani powodzi!

— Czy pani sądzi, że byłabym tutaj, gdyby mi się dobrze powodziło, czy też jechałabym autem po Picadilly? Jak pani myśli? Miss Shane?

— Przyjemności umieszczenia mnie na jakiejś dobrej posadzie! — odparła pielęgniarka.

— Wciągnę panią tymczasem do rejestru. Miss Bronson, otrzyma pani numer 1296.

— Litości! — zawołała Lizzie. — Jeżeli dzuma nie nawidezi Londynu, trzeba będzie przez rok żywić się mgłą i wodą z rzeki! Czy nie ma nadziei na otrzymanie chociaż dorywczej pracy?

— Nawet cienia nadziei — brzmiała lodowata odpowiedź.

— Niech pani posłucha. Miss Shane. Być może, nie jestem najmłodsza, ale założyłabym się, że jestem najsłabszą i najzdrowszą z wszystkich wychowanek! Proszę mi kazać pielęgnować chorego na cholere, a pójdę bez wahania, tak jestem pewna moich sił!

— Niesctety, nie ma ani jednego wypadku cholery w Londynie, — odparła sekretarka, — Dlaczego nie jedzie pani do Indyj, lub do Chin?

— Pojadę na dno Tamizy, jeśli nie dostanę dziś posady, — zawołała pielęgniarka, — a jeśli zobaczę Lucyfera, proszę być pewną, Miss Shane, że wstawię się za panią u niego!

Wyszła nie odwracając się, trzasnąwszy silnie drzwiami.

— Co za wariatka! — zawołała Miss Shane. Ale w tym zamyśliła się:

— Najzdrowsza i najsilniejsza z pielęgniarek, powiedziała....

Zaśmiała się złośliwie:

— Chciałaś ujrzeć diabła, Lizzie Bronson, aby mu mnie polecieć — mruknęła, — to ładnie z twojej



strony. A co będzie, jeśli role się odwróca i ja ciebie u niego zaproteguję?

Miss Shane zdjęła słuchawkę telefoniczną..

W mroźny dzień Lizzie Bronson szła ulicami Londynu. Drżała z zimna w swoim skromnym płaszczku z szarej gabardiny. Przemierzała ulicę męskim krokiem, wstępując od czasu do czasu do biur i instytucji, skąd wychodziła po chwili z miną jeszcze bardziej ponurą. Około południa zatrzymała się przed podrzędną jadłodajnią na Soho, przeliczyła raz jeszcze pieniądze i wreszcie weszła.

Zmierzch zapadł około czwartej i wtedy Lizzie ujrzała nagle wolno jadący samochód, którego szofer zdawał się obserwować ją uważnie. Nosił duże niebieskie okulary, a kołnierz palta był wysoko podniesiony zakrywając dolną część twarzy.

Wieczór nadchodził szybko, zimna mgła zapełniała ludzi do domów, to też w krótkim czasie ulice opustoszały. Miss Bronson szła ciężkim krokiem w stronę Hammersmith - Road. Zdawała się nie widzieć nic i nikogo, nawet samochodu, który uparcie podążał za nią. Zbliżała się do rzeki. Przy wejściu na most Hammersmith auto zatrzymało się.

Miss Bronson oparła się o wilgotną poręcz i wpatrzyła się w czarną wodę, płynącą w ciemnościach. Po kilku chwilach odczuła czyjaś obecność.

Ktoś stał za nią.

— Dobry wieczór, Miss Bronson!

— Dla mnie wieczór nie jest dobry, — odparła — lecz kim pan jest?

Spojrzała na niego. Nosił gruby płaszcz, chroniący od zimna, pilśniowy kapelusz nasunięty był głęboko na oczy.

— Proszę mi wybaczyć, Miss Bronson, — rzekł nieznajomy łagodnie — zdaje mi się, że znam panią i oceniam pani wartość...

— O, wobec tego proszę się przeziębici i dostać zapalenia płuc abym mogła panią pielęgnować!

Nieznajomy zaśmiał się.

— Naprawdę, jest się z czego śmiać! — rzekła szyderczo.

— Pani właśnie jest kobietą, jakiej szukam — powiedział nieznajomy szczerze. — Jeśli nie będzie pani stawiała zbyt wiele pytań, znajdę dla pani miejsce.

— Jeśli chodzi o pytania, — rzekła pielęgniarka — zadam panu dwa: Czy będę miała dość jedzenia, aby nie umrzeć z głodu oraz ciepły piec, aby nie zmarznąć?

— Lubię ten sposób traktowania rzeczy, Miss Bronson, mam nadzieję, że nie będzie się pani uskarżać na mnie. Proszę iść za mną.

Ruszył przez most, wskazując drogę pielęgniarce. W kilka chwil później usiadła ona na miękkich poduszkach samochodu, który rozwinął odrazu szybkość.

I tak, jak nieszczęsną Betty Marshall, samochód powiózł ją na przedmieście Willesden Green. Zabrzmiał czterokrotny sygnał klaksonu, poczym drzwi otworzyły się i wpuszczono pielęgniarkę do wnętrza.

Westibul był ciemny i długi. Z głębi ktoś zbliżał do Miss Bronson.

Tak, jak zbliżał się do Miss Marshall, gdy weszła do Bantam - House'u.

Lecz tym razem na jej miejscu znajdował się Harry Dickson.

## Tajemnica Bantam-House'u

Z głębi ktoś nadchodził.

Harry Dickson zwrócił się w stronę, skąd zbliżały się kroki. Były to kroki ciężkie i zatrzymujące się, jakby ze znużenia. W końcu ukazała się czyjaś postać. Harry Dickson ujrzał chudą i zgarbioną kobietę w szerokiej, faldzistej spódnicy.

— Proszę się zbliżyć, — rzekł płaczliwy głos.

Rzekoma pielęgniarka usłuchała i znalazła się przed staruszką o pomarszczonej twarzy, i zgaszonych oczach, które zdawały się ledwie widzieć.

— Kuchnia jest na lewo, — mruknęła, — może się pani ogrzać i zjeść cokolwiek. Potem pokażę pani pokój.

— A mój chory? — zapytał Harry Dickson.

— A, prawda, jest tu chory, — brzmiała ponura odpowiedź, — ale teraz jest spokojny, niech go pani zostawi. Jutro też jest dzień i będzie go pani mogła pielęgnować, jeśli ma pani do tego ochotę.

— Naturalnie, przecież w tym celu tu przyszedłem!

Staruszka zaprowadziła rzekomą pielęgniarkę do kuchni i postawiła przed nią ogromne ilości zimnego mięsa, chleba, masła i ogórków w musztardzie. Rzekoma Miss Bronson zasiadła przy stole i zaczęła jeść z wielkim apetytem.

— Czy może mi pani coś opowiedzieć o chorym? — zapytała podczas jedzenia. — Cóż mu właściwie dolega?

Staruszka wzruszyła ramionami:

— To nie jest moja sprawa. I niech mnie pani o nic nie pyta, dobrze? Ja bardzo źle słyszę i muszę się wysilać, aby panią zrozumieć. Zresztą nie jestem rozmowna i wolę milczeć.

— Rozumiem! — zadrwiła Lizzie — Dickson.

— Zaprowadzę panią do jej pokoju — rzekła stara, biorąc lampę. Weszli na ciemne i skrzypiące schody. Gdy znaleźli się na piętrze, służąca otworzyła jakieś drzwi.

— Oto pokój pani, jest ogień, woda w dzbanku i lampa. Dobranoc.

Harry Dickson słyszał jej oddalające się kroki w długim korytarzu, potem jakieś drzwi trzasnęły i zaległa cisza.

Pierwszym jego zajęciem było gruntowne obejrzenie pokoju. Nie widział w nim narazie nic niezwykłego. Pokój był czysty i nawet miły.

Szerokie łóżko zajmowało jedną ścianę. W rogu stała toaletka, na środku pokoju — duży, okrągły stół, dwa wyściełane krzesła i fotel. Mały piecyk kokosowy szumiał w kącie. Ściany były nagie, obite kwiecistą tapetą, ciężkie draperie zasłaniały okno. Detektyw natychmiast podszedł do nich. Nazewnątrz znajdowały się mocne okiennice, które Harry Dickson napróżno usiłował otworzyć.

— Tak powinno być! — mruknął.

Naprzeciwko łóżka zauważył jakieś drzwi. Nie były zamknięte; Harry Dickson pchnął je i znalazł się w dość dużej bibliotece. Postawił lampę na stole, zarzuconym książkami i starymi broszurami.

— Zobaczmy, jaka to lektura — rzekł do siebie.

Były tam jakieś prospekty lekarskie, stare magazyny, bezwartościowe wydawnictwa dzieł przyrodniczych. Tutaj również okno było zasłonięte ciężką, niebieską draperią. Rozsunawszy ją, detektyw znalazł takie same okiennice nazewnątrz. Jednak pewna rzecz tu zwróciła jego uwagę: powietrze było ciepłe i miłe choć nie było pieca. De-

detektyw pisał, że ciepło musi pochodzić z sąsiedniej sypialni, której drzwi były jednak zamknięte!

Harry Dickson błędził wzrokiem po pokoju. Mały stolik stał obok sofy. Leżała na nim otwarta książka, obok zaś stała nocna lampka. Detektyw spojrzał na tytuł; była to książka podróżnicza, pisana po holendersku: „Wędrówka po Borneo“, przez D-ra Vilegera, komentarze etnograficzne D-ra Goudstikka z Uniwersytetu w Liege.

— To bardzo ciekawe — pomyślał.

Dotknął żarówkę w małej lampce: była ciepła.

Postawił małą lampkę na stole, a swoją odniósł z powrotem do sypialni. Zdjął palto i wyjął z walizki jasną perukę i złoty czepek pielęgniarki. Spojrzał z uśmiechem w lustro, lecz nagle uśmiech zamarł na jego wargach: ktoś chodził w przyległym pokoju!

— Zobaczę, czy nie ma nic innego do czytania! — rzekł głośno.

W bibliotece nie było już nikogo. Wzrok detektywa padł na mały stolik: książka podróżnicza znikła.

Nie okazał jednak nazewnątrz żadnego zdziwienia, lecz zaczął przerzucać książki. Wkońcu znalazł tomik Waltera Scotta.

— Wprawdzie to nie jest zabawne, ale pomoże mi zasnąć — mruknął.

Nagle usłyszał jakiś inny dźwięk, który go zastanowił: był to jakgdyby szelest materiału, dotkniętego ręką.

Harry Dickson spojrzał w stronę okna, uniósł wzrok z nad książki: draperia drżała niedostrzegalnie i wąska, ciemna szpara ukazała się pośrodku.

Ktoś obserwował go z ukrycia.

Choć wszystkie nerwy grały w nim, detektyw nie okazał po sobie najmniejszego wzruszenia: ziewnął głośno i odłożył książkę.

Ale szelest powtórzył się, szpara stała się szersza i nagle otworzyła się szeroko.

Ukazał się potwór.

★

Choć opanowany i przygotowany na najgorsze sytuacje, detektyw nie mógł powstrzymać krzyku przerażenia.

Jakaś okropna postać stała koło okna, patrząc na niego.

Była to Śmierć...

Tak, była taka, jaką przedstawiają sobie ludzie. Szkielet o białych kościach, odziany w białą togę, nad którą wznosiła się straszliwa trupia czaszka.

Wtem ohydne usta otworzyły się i potwór przemówił:

— Stój spokojnie, jeśli chcesz pozostać przy życiu!

Harry Dickson chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle jakaś silna ręka odwróciła go i znalazł się twarzą w twarz ze starą służącą.

Nie była to zgarbiona staruszka, która przyjęła go przed godziną, lecz wysoka kobieta o silnej budowie i stalowym uścisku dłoni. Chwila zdumienia była fatalna dla detektywa. Błyskawicznie został skrepowany rzemieniami, co wydało go w zupełności na pastwę przeciwników.

— Prędko, Sha. — mruknął szkielet, — nie trzeba tracić ani chwili, jest mi bardzo zimno dzisiaj!

Kobieta zarzuciła sobie Dicksona na plecy, jak worek i zwróciła się w stronę draperii okiennej.

— Powiniennem być o tym pomyśleć — przemknęło przez myśl detektywa — tu jest nietylko okno, ale są i drzwi, zrećźnie zamaskowane!

Tak też było, gdyż okiennice były otwarte i ukazał się długi korytarz, elektrycznie oświetlony.

— Oni są jednak bardzo nowocześni! — pomyślał detektyw.

— Prędko! Jest mi bardzo zimno dzisiaj, Sha! Harry Dickson zmrużył oczy, olśniony.

Weszli do niskiej, białej sali, jasno oświetlonej przez sześć silnych lamp. Środek pokoju zajmował duży, marmurowy stół.

Detektyw zadrżał: był to stół operacyjny, taki, jakie znajdują się w bardzo nowoczesnych klinikach.

Ruchy kobiety były zwinne i szybkie, tak że po chwili Dickson leżał na stole, nie mogąc się poruszyć.

Zywy szkielet patrzył na niego chciwie.

— Zbadaj jej krew, Sha... ona jest zdrowa i silna! Biada jej, jeśli jest taka, jak inne! Zanim znajdzie się w głębinach rzecznych usiądzie jeszcze na krześle strasznych tortur, aby nie mogła uciec, jak ta ostatnia, i mówić...

— Ona nie mówiła! — odparła kobieta ostro. — Sztylet ją uspokoił, a ta, która widziała, kto go trzymał, umarła także, bo to było bardzo niebezpieczne.

— Nie mów tyle, Sha! — upominał ją potwór.

Kobieta trzymała w ręku strzykawkę i epruwetkę. Detektyw poczuł dotkliwy ból w szyi: wzięto mu sporą dozę krwi.

— No, — niecierpliwził się szkielet. — Czy mam ją posadzić na krześle strasznych męczarni?

— Zdrowie doskonałe! — oznajmiła nagle stara.

Detektywa ogarnęło ogromne znużenie, które z trudem zaledwie mógł przezwyciężyć. Zamknął oczy, ale z pod wół przymkniętych powiek widział, jak służąca podała szkieletowi szklanekę, do połowy napełnioną jego krwią i że ten wchłonął ją chciwie, jakgdyby to było najlepsze wino.

— To mnie rozgrzewa, — rzekł potwór, — dzisiaj dałaś mi krew, a kiedy dasz mi ciało innych?

— Wszystko w swoim czasie, książę Mirma!

Książę Mirma! Harry Dickson słyszał o nim.. Straszny tyran jawajski którego władze holenderskie uwięziły na Borneo...

Nagle westchnął i otworzył oczy, jakgdyby obudził się z długiego snu:

— Gdzie jestem Ach tak, przypominam sobie.

Ale powiedzcie mi, jeśli chodziło tylko o transfuzję krwi, to po co ta cała komedia?

— Komedie?! — krzyknęła kobieta.

— Ona ma rację! — rzekł powtór. — Zapłacimy jej za to, ile zechce.

— Pozwólcie mi usiąść! — jęknęła rzekoma pielęgniarka. — Możecie przecież zostawić mi nogi związane, ale posadźcie mnie koło pieca!

— Co jest tutaj? — zapytał, wskazując stołki ustawione na półkach.

— Piękne, żywe ciało! — zawołał szkielet, — ciało najpiękniejszych pielęgniarek Londynu, których nie znaleziono w Tamizie! Sha umie utrzymać je na specjalnej pożywce przy życiu, do chwili, gdy obłoży nim moje kości, aby znów uczynić ze mnie najpiękniejszego księcia na ziemi!

— Nic nie rozumiem, — mruknął Dickson, ale jeśli tylko zapłacicie, przestanie mnie to interesować. Czy mogę zapalić?

— Hm... jednego papierosa.

— Uwolnij na chwilę moją rękę... lewa wystarczy... papierosy mam w kieszeni fartucha.

— Zaciągnął się raz i odrzucił papierosa ze wstrętem do ognia.

— Obrzydliwe! — mruknął i przymknął oczy.

Nagle wszystko zawirowało wokół niego i ujrzał jeszcze przerażone miny kobiety i potwora. Potem z kominka wzniósł się gęsty dym.

— Cudowne są te papierosy o potrójnym działaniu, — rzekł do siebie Dickson: — najpierw dwa pociągnięcia dobrego tytoniu, potem gaz odurzający, a wreszcie gęsty dym, który wydostanie się przez komin i który widać zdaleka.... Resztę załatwi Tom Wills...

### Rozwiązanie zagadki

— Boże, jakież on brzydki!

Harry Dickson poznał głos swego ucznia i otworzył z trudem oczy. Ujrzał otwarte drzwi i grupę ludzi w mundurach policyjnych. Nie było to już w białym laboratorium, lecz na korytarzu; leżał w swoim stroju pielęgniarki a Tom Wills podtrzymywał jego głowę.

— Budzi się pan, mistrzu! Czy wie pan, że straciliśmy przeszło godzinę szukając was w tym domu?

Harry Dickson pokrzepiony tykiem koniaku, podniósł się. U stóp jego leżały dwa ciała. Stara Sha spała, a obok niej szkielet, z którego zsunęła się toga. Ukazało się brunatne ciało, a tylko ręce i głowa przypominały kościotrupa.

— Czy to okaz z cyrku Barnuma? — zapytał jeden z policjantów.

— Słusznie, — rzekł detektyw, — ten potwór dotknięty jest dziwnym nieszczęściem: jest to pewnego rodzaju niezaraźliwy trąd, który zdarza się na Jawie, a który nie niszczy ciała, lecz jakgdyby mumifikuje. Często jednak głowa i ręce nie zachowują się tak dobrze i to nadaje im tak straszny wygląd. Ten człowiek jest księciem Mirma!

— Jest... Był raczej, Mr. Dickson, przecież on nie żyje. Gaz usypiający zabił go! — rzekł Tom. — Ale ta druga porusza się.

— Uwaga, działanie narkotyku ustaje, załóżcie jej, chłopcy, kajdanki! — rozkazał detektyw.

Stara otworzyła z wolna oczy. Widocznie zrozumiała wszystko odrazu, gdyż wściekłość bly-

snęła w jej oczach. I, widząc, że rzekoma pielęgniarka zdejmuje czepek i perukę, zawołała:

— Harry Dickson! Bestio piekielna!

— Dzień dobry, Sir Burland! — odparł Harry Dickson.

— Jakto? Sir Burland nie żyje! — krzyknął Tom Wills.

— Skądże znowu! Cornelius van Mylen, jego sobowtór, zginął, prawdopodobnie z inicjatywy tego dzielnego Burlanda, który odtąd mógł uchodzić za właściciela Bantam-House'u. To stary kawał z sobowtórem. Ale to mi daje dużo do myślenia. Kiedy pan zamordował nieszczęsnego Derringtona, pan był tym, który przybył do naszego klubu na jego miejsce, prawda?

— Nic się nie ukryje przed panem! — mruknął Burland.

— Słusznie, wszystko teraz wyjdzie na jaw. Sir Burland spotkał w czasie swych podróży księcia Mirma, straszliwie zeszpeconego przez tajemniczą chorobę. Mirma posiada ogromny majątek, którego część obiecał Burlandowi za cenę uzdrowienia go. Uczony, gdyż Burland jest nim, spróbował na miejscu. Władze holenderskie jednak poprosiły go o natychmiastowe opuszczenie kraju. Ale Burland nie chciał stracić takiej okazji wzbogacenia się. Zabrał Mirmę z powrotem do Anglii. Osiedlił się w tajemnicy przed wszystkimi w Bantam House pod nazwiskiem Cornelius van Mylen, który miał nieszczęście być do niego podobnym, jak brat. Van Mylen za to zajął jego miejsce w Londynie.

— A kto zabił Miss Marshall? — zapytał Tom.

— Sądzę że to był Burland. On sam również był u mnie z wizytą. Nie miał odwagi posłać sobowtóra, gdy chodziło o wielką grę. Gdy van Mylen zginął, Burland wrócił na swoje stanowisko służącej w Bantem-House, u boku księcia-szkieletu, pod postacią starej Sha...

— Ale kim był człowiek, który prowadził auto? — spytał Tom, — przecież on był niski...

— Burland z łatwością umiał zmieniać swoją figurę — odparł detektyw. — Miał dzielną pomocnicę w Instytucie pielęgniarek, — ciągnął dalej, — była to Miss Shane.

— Dlaczego wybrał sobie pielęgniarki? — spytał jeszcze Tom.

— Gdyż miał je jakgdyby pod ręką, a zresztą może miał jakąś manję na tym punkcie co często zdarza się przestępcom.

— Nie mam nic do dorzucenia, — rzekł Burland. — Przypuszczam, Mr. Dickson, że będę powieszony?

Tak też się stało.

## Koniec.

Następny **Nr. 25 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 28-go czerwca zawierać będzie przygodę p. t.

**„Woskowe jabłko“**  
CENA 10 GR. CENA 10 GR.



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Harry Dickson walczy ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłądą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze **wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

### Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- |                                    |                               |
|------------------------------------|-------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“                   | 12. „KAPLANKA OGNIĄ“.         |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY     |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“         | 14. ŻYJĄCY BUDDA              |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“              | 15. WIDMO TUŁACZA             |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“             | 16. SKRADZIONY TESTAMENT      |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“             | 17. DUCH ŚWIATŁA              |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“                 | 18. CZERWONA DAMA             |
| 8. „KRÓL NOCY“                     | 19. MIASTO PIRATÓW            |
| 9. „POSEPNA KABALA“                | 20. POSTRACH LONDYNU          |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“          | 21. TAJEMNICA ŁODZI PODWODNEJ |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“             | 22. NIEBIESKI BOCIAN          |
|                                    | 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO.      |

Czytajcie

Czytajcie

## PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

10 gr.

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

szyt, stanowiący oddzielną całość

Cena

10 gr.

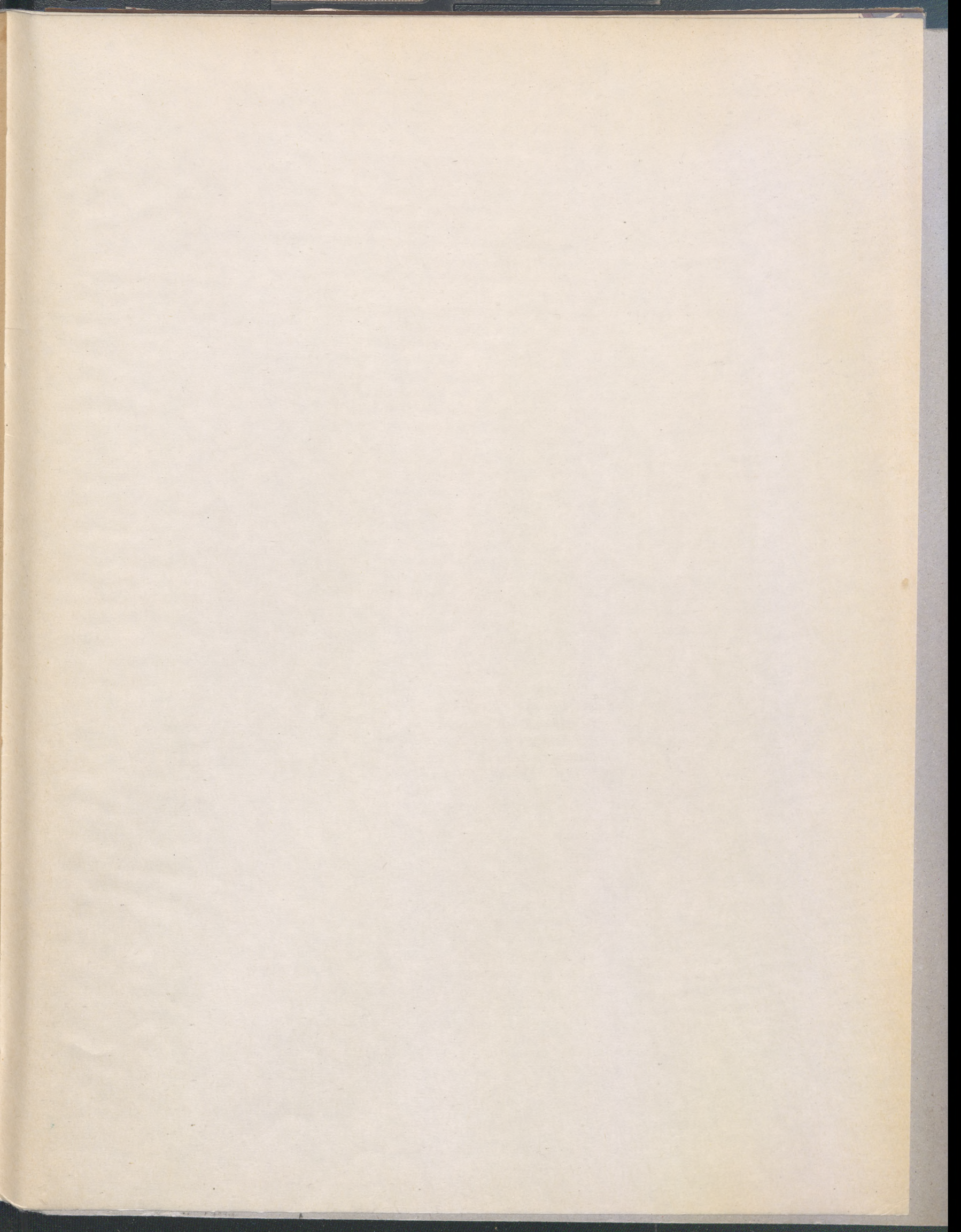
Wydawca. Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak

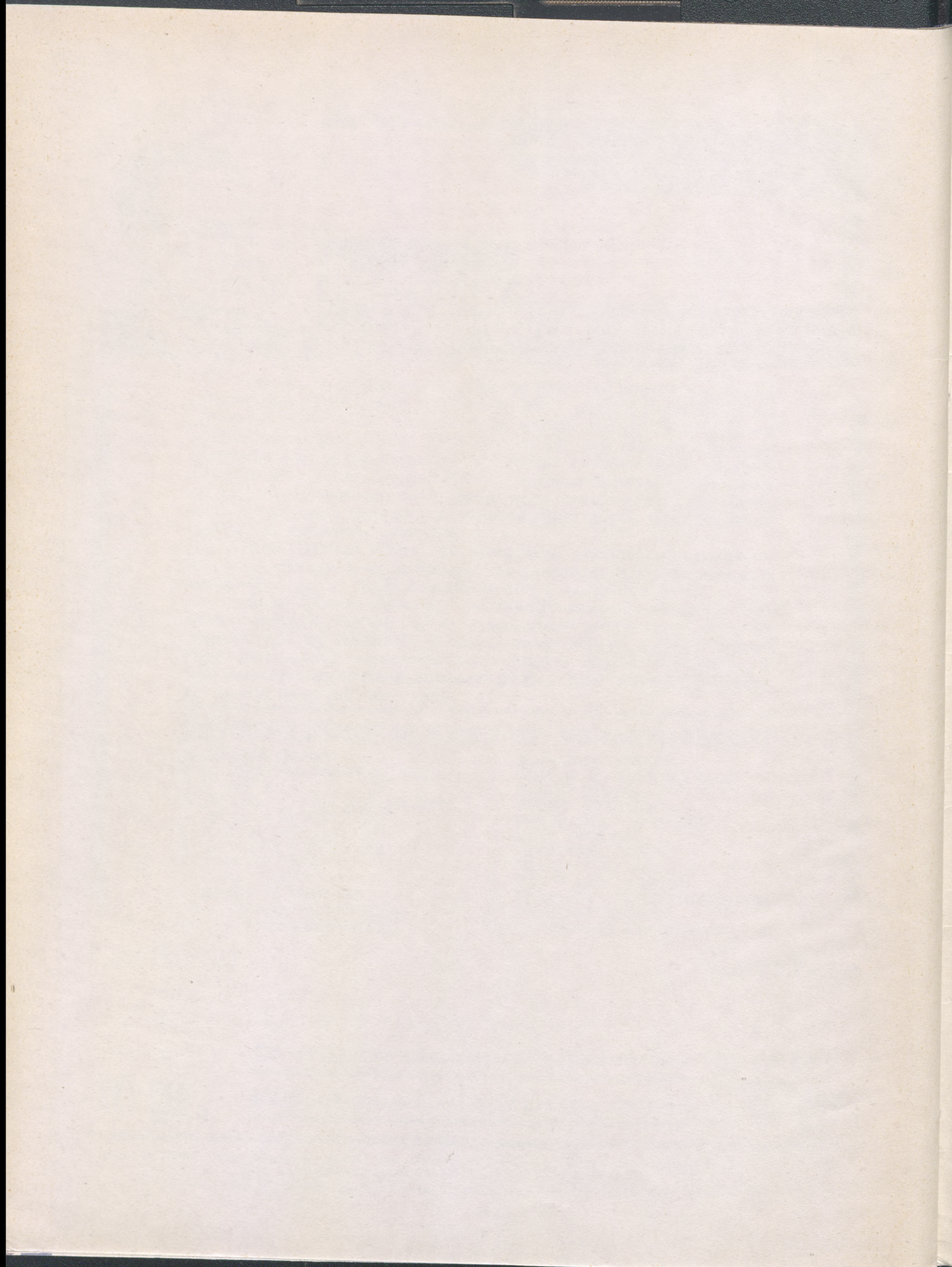
Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Konto PKO 68.148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

6095/32





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001024365985



245  
623405

24

BN

BN

BN

BN

BN

BN